

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie Rs. 7 kop. —
 Półrocznie „ 3 „ 50
 Kwartalnie „ 1 „ 75
 Miesięcznie „ — „ 60

Za odnośnienie do domu
 dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca
 się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-
 meru bez dodatku k. 20.

Prenumerata na Prowincyi
i w Cesarstwie:

Rocznie Rs. 9 kop. —
 Półrocznie „ 4 „ 50
 Kwartalnie „ 2 „ 25

Za Granicą:

Rocznie 12 guld.—18 m.
 Półrocznie 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-
 tor Redakcyi po kop. 10 za
 wiersz petitowy lub za je-
 go miejsce. Reklamy po
 kop. 25.

GŁOS

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
 BRACKA Nr. 25.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden
 zeszyt dzieł naukowych.

TREŚĆ: Wyzwolenie drobnego handlu, przez J. L. P.
 Byt ludności robotniczej w Płocku, przez A. Hempla.
 Walka z dziedzicznością, przez J. K. Potockiego.
 Kronika przyrodnicza.
 Głosy: List Sygietyńskiego.—P. Prószyński w kłopotcie.—
 Podrzucony szlachcic.—Z tygodnia.
 Z obcego świata, przez J. H. Siemienieckiego.
 Przegląd społeczny: Z nad Pilicy, Lublin, Petersburg,
 Wilno, Preny, Z pow. zwinogrodzkiego, Mińsk gub., Kraków,
 Lwów.
 Przegląd polityczny.
 Kronika powszechna.
 Odpowiedzi od redakcyi.
 Ogłoszenia.
 Odcinek: Hedda Gabler, przez Władysława Rabskiego.
 W dodatku: Sposób d-ra Heidenhoffa, napisał Edward
 Bellamy. (Ciąg dalszy).

Wyzwolenie drobnego handlu.

Przed dwoma tygodniami odbył się, jak niektóre pisma szumnie nazwały, „pierwszy zjazd”, a właściwie skromna narada kilkudziesięciu właścicieli sklepów prowincjonalnych, oraz osób, interesujących się żywiej sprawą rozwoju handlu drobnego a swojskiego, czyli raczej—że użyjemy tu wyrazu, który zyskał prawo obywatelstwa w danym wypadku—handlu „chrześcijańskiego”. Rzecz jasna, że przymiotnik ten nie określa jakiejś szczególnej właściwości handlu, ani nadaje mu charakteru wyznaniowego, ale po prostu wyróżnia handel, prowadzony przez chrześcijan, od handlu, prowadzonego przez żydów.

Wiadomo, że w ciągu kilku lat ostatnich „sklepy chrześcijańskie” coraz częściej powstawać zaczęły po miastach, osadach i po wsiach. Jak obliczają niektórzy, w Krolewie mamy już obecnie z górą 1,000 takich sklepów, nie licząc przedsiębiorstw większych, które oddawna istniały. Nazwę „sklepów chrześcijańskich” nadają zazwyczaj przedsiębiorstwom drobnym, nie specjalizowanym, t. j. zawierającym różnorodny towar, znajdującym się wreszcie w mniejszych miastach, w osadach i t. d.

Rozmiary tego prądu świadczą, że jest on objawem naturalnym, sztuczne bowiem zachęty, których przecie od lat kilkunastu nie szcędzono, nie mogłyby odrazu tylu usiłowań w różnych punktach kraju wywołać.

Przed kilkunastu laty, kiedy zasada „pracy organicznej” cieszyła się wielką powagą, kiedy zapędzano szlachtę do przemysłu i handlu, a nawet w osobach młodszych a nie-

chętnych lub niezdolnych do nauki latorośli—do rzemiosł, powstały tu i owdzie t. zw. sklepy wiejskie. Były to przedsiębiorstwa szlacheckie, z których przewidywane zyski miały zastąpić dochód z propinacyi i t. p., jednym słowem, poprawić stan finansowy właścicieli majątku.

Przedsiębiorstwa te nie zawsze się opłacały, często bowiem prowadzone były nieumiejętnie i niedbale, ale jednak niektóre przetrwały i rozwinęły się niezgorzej.

Są to obecnie nieraz duże sklepy, mające po 10, 12 do 15,000 i więcej rubli obrotu rocznego. Często znowu były to niby filantropijne, niby obywatelskie instytucye, podtrzymywane nie dla zysku, ale dla ułatwienia chłopom możności taniego nabywania towarów i odzwyczajania ich od włości po targach i jarmarkach miasteczkowych, co, zwłaszcza w porze roboczej, dla właścicieli większej posiadłości nie jest obojętnem. Bywały wreszcie niekiedy takie sklepy wiejskie środkiem wyzysku, nietylko bowiem czeladź dworską ale i najemników zniewalano do brania w nich towarów albo w lichym gatunku, albo po wysokiej cenie.

Takie szlacheckie sklepy wiejskie w większości wypadków muszą iść koszlawo i niebardzo mogą się rozpowszechniać. Właściciel majątku albo nie ma czasu zająć się sklepem i przynajmniej kontrolować swego zastępcę, albo nie ma pieniędzy dla prowadzenia tego interesu.

Obok tych przedsiębiorstw prywatnych zakładać zaczęto sklepy spółkowe lub udziałowe, zwykle na większą prowadzone skalę. Tego rodzaju sklepy w wielu okolicach rozwijają się wcale pomyślnie i w każdym razie mają pewne znaczenie społeczne, ponieważ bowiem są niby stowarzyszeniami spożywców, jakkolwiek z ograniczoną wielce liczbą członków.

Ale w ostatnich latach dopiero zaczęły powstawać na prowincyi sklepy chrześcijańskie innego typu. Zakładają je ludzie, którzy z drobnego handlu żyją, dla których jest on jedynym lub głównym zajęciem. Czasem jakiś zbankrutowany obywatel ziemski lub dzierżawca, częściej spadły z etatu urzędnik, albo oficyjalista, który kilkaset rubli uciułał, albo obrotny mieszczanin lub chłop bogaty, to znowu wdowa „z lepszego stanu” z maleńkim kapitałkiem i t. d. biorą się handlu, a żeby znaleźć utrzymanie. Ludzie ci ani rutyny, ani stosunków odpowiednich, ani dostatecznego kapitału zwykle nie posiadają, no, ale nie święci garnki lepia, z kłopotem

więc i z mozołem udaje im się zdobyć jaki taki kawałek chleba.

Niema wątpliwości, że dążenie do zajęcia się handlem, do zakładania sklepów rozwija się z dniem każdym. Rola, która ze stanowiska swego musiała sprzyjać i dopomagać rozwojowi handlu „chrześcijańskiego”, poświęca sprawom tych sklepów oddzielną rubrykę, zawsze obficie zapełnioną. Pisma ludowe również zajęły się sprawami drobnego handlu, a jedno z nich, *Zorza*, wydaje nawet tygodniowy dodatek p. t. *Poradnik dla handlujących*.

Dwie okoliczności przyczyniły się niemało do rozwoju tego prądu, który ma na celu wytworzenie handlu swojskiego,—mianowicie wzrost antysemityzmu, pojmanego w szerszych warstwach jako dążność do wyzwolenia się z pod przewagi ekonomicznej żydów wogóle, a z pod ich monopolu handlowego w szczególności,—oraz coraz trudniejsze warunki życia, zwłaszcza dla osób, należących do warstwy inteligentnej lub zaliczających się do takowej, mniej lub więcej zasadnie.

Dzisiaj, kiedy nawet człowiekowi z wyższem i specjalnem wykształceniem trudno znaleźć jakie takie zajęcie, ta nie mająca żadnego fachu masa półinteligencyi, która do pracy fizycznej nie jest zdolną lub znaleźć jej nie może, z konieczności zwrócić się musiała do handlu. Do prowadzenia sklepu w osadzie lub na wsi nie potrzeba ani wielkiego kapitału, ani szczególnych wiadomości. Pierwsze kroki trudno stawiać, ale prędko nabyć można doświadczenia. W walce zaś z kramarzami-żydami, którzy do niedawna posiadali monopol drobnego handlu, często nawet takie przymioty, jak porządek i względna sumienność, zapewniają zwycięstwo.

Handel żydowski, zwłaszcza drobny, prowadzony jest i nieuczciwie—nawet ze stanowiska moralności kupieckiej — i niedołężnie. Żydzi mają wprawdzie pewną rutynę handlową, ale nie ona stanowi główną ich siłę. Współzawodnictwo z nimi dla sklepikarzy polskich z tego względu przedewszystkiem jest niezmiernie trudne, że posiadają oni oddawna zorganizowany monopol handlowy. Cały handel hurtowy u nas znajduje się w ręku żydów, nawet handel takimi towarami, które wyłącznie prawie sprzedają detalicznie kupcy chrześcijańscy. Nie mówiąc już o również zorganizowanym pośrednictwie w wielu miejscowościach, posiadają także żydzi monopol transportów. A w walce konkurencyjnej z kupcami chrześcijańskimi wielcy monopolisci i dro-

bni kramarze działają zawsze solidarnie, chociaż interesy ich są nieraz sprzeczne.

Współzawodnictwo wtedy tylko może być skutecznym, kiedy kupcy chrześcijańscy przeciwstawiają przynajmniej zsolidaryzowanej organizacji żydostwa — własną organizację handlową. O usunięciu monopolu w handlu hurtowym na razie mowy być nie może, ale jeżeli nie uda się brać towaru z pierwszej, to należy wzięść go chociażby z drugiej ręki. W pewnych wypadkach można zapewne związać nawet stosunki bezpośrednie z producentami towarów. Pojedynczy sklepikarze chrześcijańscy, nawet jeżeli obracają znacznym kapitałem, sami zrobić tego nie mogą. Handel drobny w miastach i po wsiach wymaga najrozmaitszych rodzajów towarów, żaden zaś producent, ani nawet hurtownik drobnych transakcyj zawierać nie będzie. Dodajmy, że zawiązanie bezpośrednich stosunków wymaga znacznych kosztów względnie do sumy kapitału.

Otóż na razie postanowiono założyć w Warszawie agenturę, któraby załatwiała zlecenia kupców prowincjonalnych. Agentura taka nie wymaga nakładów znacznych. Myślano urządzić ją przy stowarzyszeniu spożywczym *Merkury*, co jednak z wielu względów okazało się niepraktycznym, prawdopodobnie więc powstanie samodzielnie. Zebranie niewielkiego funduszu na początek i nadanie przedsięwzięciu temu formy prawnej nie powinno przedstawiać trudności. Towarzystwo popierania przemysłu i handlu (sekcja rolna) ma rozciągnąć opiekę nad sprawami sklepów wiejskich — w braku innego, bardziej odpowiedniego patronatu.

Jest to, rozumie się, pierwszy krok, który stawiając, trzeba wiedzieć, że wkrótce należy pójść dalej. Jeżeli agentura rozwine się pomyślnie, jeżeli zwykła w każdym pierwszym usiłowaniu nieufność we własne siły szczęśliwie zostanie rozproszoną, wypadnie rozszerzyć zakres działania. Nic to nie szkodzi, że początek tak skromnie wygląda. Cały ten

prąd rozwijał się stopniowo, a jednak dzisiaj już przybrał przecie poważne rozmiary. Wzory zaś odpowiednie znaleźć łatwo w statutach galicyjskiej *Narodowej torhewli*, w organizacji agentur handlowych kółek rolniczych i t. d., nie mówiąc już o analogicznych pod wieloma względami stowarzyszeniach czeskich.

Naszem zdaniem agentury najbardziej potrzebuje handel chrześcijański drobny, więksi bowiem kupcy pojedynczo czy w porozumieniu osobistym łatwiej dadzą sobie radę. Ale agentura w Warszawie dla tych drobnych sklepików, obracających nieraz ledwie 100—200 rublami kapitału, nie wiele zrobić może, jeżeli nie będzie posiadać rozgałęzień na prowincyi. Praktyka wskazała już konieczność zakładania w miastach większych sklepów, któreby dla drobnych sklepików wiejskich były jakby hurtowymi. Właściciele kilkunastu sklepów wiejskich rozbierają pomiędzy sobą udziały i zakładają np. w mieście powiatowym sklep, który sprowadza towar od hurtowników i odstępuje uczestnikom po cenie kosztu, z dodatkiem lub bez dodatku komisowego, a oprócz tego dla pojedynczych nabywców jest handlem detalicznym. Otóż, zdaje mi się, że na wzór tego agentura warszawska powinna mieć swych agentów w miastach prowincjonalnych, chociażby w osobach tych kupców, z którymi utrzymywać będzie bezpośrednie stosunki. Dla publiczności będą oni zwyczajnymi kupcami, dla sklepikarzy zaś komisjonerami, zobowiązanymi oddawać towar po oznaczonej cenie. Ale są to już te lub inne szczegóły organizacji, w które na razie wchodzić nie mam zamiaru. Zaznaczam jednak raz jeszcze, że najpilniejszą i ważniejszą społecznie jest właśnie sprawa zorganizowania stosunków handlowych z drobnymi, przeważnie wiejskimi sklepikarzami, nie zaś z większymi kupcami chrześcijańskimi w miastach.

Doniosłość społeczna całej sprawy polega na tem, że prąd, o którym mowa, prowadzi do wytworzenia własnej klasy handlowej.

Ubolewano nieraz, że nie mamy rodzimego mieszczaństwa we właściwym znaczeniu tego wyrazu. Obecnie mamy grube mieszczaństwo kapitalistyczne, w przeważnej części pochodzeniem obce, żydowskie i niemieckie, co, zdaniem naszym, sprawierozwoju społecznego bynajmniej nie szkodzi, przeciwnie, lepiej uwydatnia nawet samolubne dążenia tej klasy. Ale rzeczywiście brak nam tych ogniw pośrednich, tej pół-inteligencji, która stanowi przejście od klas uprzywilejowanych do ludu. Właściwie mówiąc, mamy bardzo obfity materjał dla wytworzenia tego drobno-mieszczaństwa i pół-inteligencji, ale ta masa konsoliduje się dopiero, rozgląda, szuka dla siebie miejsca w społeczeństwie.

Jeden z młodych autorów, piszących o antysemityzmie (p. A. Lange), wypowiedział niedawno zdanie, że ruch ten świadomie lub bezwiednie zmierza do wytworzenia rodzimego, polskiego mieszczaństwa. Świadomie lub bezwiednie jakoby wszystkie stronnictwa u nas, nawet anty-mieszczańskie, dążą do tego. Otóż, jeżeli o tych ostatnich żywiłach mowa, to należało położyć nacisk na świadomość tych usiłowań. Każdy z nas wie o tem, że wyzysk żydowski niczem w gruncie rzeczy nie różni się od wyzysku chrześcijańskiego; każdy rozumie, że handel czy to żydowski czy chrześcijański polega na tem, aby jak najtaniej kupić, a najdrożej sprzedać. Ale dzisiejszy ruch, mający na celu wyzwolenie drobnego handlu z pod monopolu żydów, posiada znaczenie społeczne, że użyjemy tego wyrazu w szerokim znaczeniu — polityczne, nie zaś ściśle ekonomiczne. Nawet jednak z wyłączeniem ekonomicznego punktu widzenia prąd ten, o ile przytiera charakter kooperacyjny, zasługuje na uwagę baczniejszą. Po za tem zaś wytworzenie własnej klasy handlowej, zwłaszcza zaś sklepikarzy drobnych, którzy być mogą pośrednikami chociażby tylko prądów umysłowych pomiędzy warstwami ludowymi a inteligencją, jest sprawą pierwszorzędną doniosłości. Zapewne, społecznie będzie to

HEDDA GABLER

nowy dramat Ibsena.

W skandynawskiej literaturze dwa z sobą walczyły prądy, — na czele jednego stanął August Strindberg, wodzem drugiego okrzyknęto Henryka Ibsena. Pieknelna nienawiść ku kobiecie nowoczesnej, protest przeciw feminizmowi piśmiennictwa i społeczeństwa naszego, — oto znamienne hasła na sztandarach Strindbergowskiego obozu; tendencyjne idealizowanie typów kobiecych natomiast — to wina, którą akt oskarżenia przypisuje genialnemu twórcy „Nory”, „Widm” i „Oblubienicy morza”. W zarzucie, uczynionym Ibsenowi, tkwi bezwarunkowo potężna doza przesady, bo błędem jest kreślenie mniej więcej dodatnich postaci niewieścich łączyć znakiem równania z bałwochwalstwem feminizmu; a jednak z tej walki w północnej skandynawskiej krainie wyłania się coraz jaśniej potrzeba o znaczeniu ogólnoludzkiem, potrzeba usunięcia żeńskiego samowładztwa, które dotkliwie uczyć się daje.

Zdaje mi się, że Zola w jednym z wcześniejszych romansów swoich zrobił bardzo trafną choć jednostronną uwagę, iż serwilizm naszego zdegenerowanego społeczeństwa dla kobiety jest resztką tradycyi katolicyzmu, jest dziedzictwem kultu Madonny. Większość nowoczesnej literatury francuzkiej — to obraz ogólnego upodlenia płci męskiej, nad którą wszechwładnie panuje samica, a głos nadsekwańskich dekadentów kuszącym echem rozlega się już w całej niemal Europie. Wszystko kraży

koło niej; ona rujnuje siłę, energiję i talent; dla niej się żyje, pracuje i walczy, aby w końcu otrzymać cukierek w formie zmysłowej pieścizoty. „Notre coeur”, „Physiologie de l'amour moderne”, młoda liryka niemiecka — wszędzie kobieta, kobieta, kobieta. Ten potop straszny zalewa wszelkie myśli i dążenia; sprężyny społeczne, dźwignie narodowe maleją i giną wobec jedynej kwestyi płciowej, a nad tem wszystkim literatura pobłażliwie wyciąga ramiona i na męskiej bezsilnej stempel cnoty wyciskając, jak dresowana kokotka zęby przymilające wyszczerza, albo koniec różowego pokazuje języczka. Kobieta nowoczesna, owa „femme fin du siècle”, to połowiczne stworzenie złożone z rozstrojonych nerwów i nieokreślonych, na poły wzniosłych, na poły bestyjalnych porywów, staje się heroiną, a serwilizm dla niej — modą, bohaterstwem. Otoczona niezdrową choć wonną atmosferą buduarów kusi ta modna syrena Lysistratów naszych, dyskretnie apoteozowana przez zniewieściałe piśmiennictwo, zaprawione zapachem Maupassantowskich lub Bourgetowskich perfumów. I tak kult feminizmu leci na skrzydłach romansu dalej i dalej, a powieściopisarz, rzuciwszy niewdzięczną rolę nauczyciela i lekarza społecznego, staje się spekulantem na słabość prerafinowanej kultury ludzkiej. Nie dziw więc, że w takich warunkach Hedda Gabler gdzieś tam fałszywie została pojęta, nie dziw, że tę typową dekadentkę, na której każdy nieuprzedzony Baltazarową wyczyta przestrożę, porównywano z „mityczną Brunhildą” i szeptano o tytanicznej naturze, która rozbija się o szare skały życiowej popolitości. Chorobliwe to sądy, płynące z ust zdegenerowanych feminizmu kapłanów: Hedda Gabler to nie zlepek powabnych Bourgetow-

skich uśmiechów, Hedda Gabler to pierwszy wyraźny protest wielkiego norwegczyka przeciw kobiecie — dekadentce; tu nie Brunhildy szukać nam należy, tu zepsuty produkt rafinerii wieku naszego stoi przed nami.

Przykuta do boku suchego, niemieckiego filologa Tesmana jest Hedda osiłą całego dramatu. Nie znając czynnego życia, młodość przetańczyła, a teraz z pistoletami w rękę, którymi bawić się lubi, przejęta marzeniami o jakimś dziwnym, romantycznym pięknie, rujnująca materyjalnie męża swojego, którego osoby i pracy nienawidzi, Hedda ziewa i pragnie czegoś nieokreślonego. Zajmuje ją ślizka salonowa gawędka, nęca ją zakulisowe tajniki życia kawalerskiego, z lubością słucha dwuznaczników, brak jej odwagi, by akt piąty wysnuć, bo Hedda „boi się skandalu”. Istota jej i życie nawskróś nieprodukcyjne, ale tam w głębinach duszy jest żal cichy i czynu pragnienie; więc ona nienawidzi tych, którzy jeszcze z zapalem garną się do pracy, i co inni dłonią silną wynieśli, na proch zetrzeć pragnie. Jest to niesłychanie głęboki rys tej charakterystycznej postaci, na który krytyka niemiecka zbyt mało zwróciła uwagi, bo tu właśnie z po za romantycznej osłony wychyla się głowa „de la bête humaine”. W Heddzie sływać bestyjalne sarkanie nieprodukcyjności dekadenta, który jeszcze nie przeszedł w stadyjum apatycznego kwietyzmu, bestyjalną wściekłość niemocy, która jeszcze własnego upadku nie ujęła w system filozoficzny, apoteozujący kult słabości, zazdrość karlicy, któraby wszystkich olbrzymów zrównać z sobą chciała. I dlatego cierpnie „kobieta nerwów” na widok działalności koleżanki swojej Thei Elvsted, tej istoty, która całe swe życie po-

tylko drobne mieszczaństwo, ale jeżeli uprzytomnimy sobie, że klasę tą dziś składa żywił obcy dla naszej kultury, fanatyczny i ciemny, to zrozumiemy, ile na tem zyskuje ogół.

J. L. P.

Byt ludności robotniczej w Płockiem

Małorolni i bezrolni.

III.

Małorolni stanowią niejako rdzeń ludności wiejskiej w gub. Płockiej. Włościanie w gub. Płockiej, wskutek przyczyn, o których wspominałem przedtem, dostali udziały mniejsze, niż w kraju całym, jak o tem można przekonać się z następujących kilku cyfr:

Grunty uwłaszczonych zajmują ogólnej przestrzeni:

| | |
|---------------|-------|
| gub. Suwalska | 59,9% |
| „ Piotrkowska | 42,3 |
| „ Płocka | 29,8 |

Gub. Płocka posiada ziemi ogółem 945 tysięcy dziesięcin ziemi, z tego uprawnej w czasie uwłaszczenia 578, a że grunta włościańskie zajmują 282,400 dziesięcin, więc na przeciętną rodzinę włościańską (około 51 tysięcy rodzin uwłaszczonych) wypadło 10—11 morgów ziemi. Wskutek jednakże ogromnego przyrostu ludności w pierwszych latach po uwłaszczeniu, a z drugiej strony bardzo stosunkowo niewielkiego przybytku ziemi przykupionej lub otrzymanej za serwitaty, dzisiaj na rodzinę włościańską faktycznie nie wypada więcej nad 5—6 morgów. Jeżeli zaś zważymy, że po obliczeniu 15—25% lepiej uposażonych (a w każdej wsi prawie jest kilku prawdziwych „dużych”, jak mówią, włościan—oprócz małorolnych powstałych z chałupników, ogrodników ect.; pierwsi otrzymali w całości osady odziedziczone po ojcach, drudzy tylko ich skrawki) przeciętna 5—6 morgów znizy się jeszcze blisko o połowę dla wszystkich pozostałych,—to będziemy mieli pojęcie o uposażeniu ziemią większości naszych właścicieli drobnych; z niewielkimi wyjątkami są to małorolni, posiadający od 1/2—4 morgów ziemi.

Chcąc przedstawić chociaż w przybliżeniu byt tych mas całych, spotyka się nie małe

trudności, wynikające wskutek jakości i ilości posiadanej przez włościan ziemi, a także wskutek wysokości zarobków, jakie znajdują w danej okolicy. Tu przedstawię maximum, do jakiego może dojść dobrobyt 1/2—4 morgowego gospodarza, znajdującego się w warunkach przeciętnych dla nich wszystkich, więc mającego osadę w ziemi średnio dobrej i znajdującego jaki-taki zarobek po za gospodarstwem.

Rodzina małorolnego w takich warunkach zjada rocznie (maximum) następujące ilości pożywienia:

1. Żyto. Małorolny w najlepszym razie je codzień kluski na śniadanie, a w święta Bożego Narodzenia, Wielkanocne i żniwa—chleb. Większość, zwłaszcza posiadających mniej niż 3 morgi, klusków bardzo często nie jada, ale że tu liczę maximum, więc biorę żyta 6 korcy; po straceniu 12 garncy dla młynarza—pozostaje 1294 fun.

2. Kasza. Zwykle kupują kaszę w mieście i większą ilość zjadają tylko bardziej zamożni, lub w razie, gdy zabraknie kartofli.—Na kaszę więc jęczmienną, gryczaną, pszenną (to robią sami) najwyższej można w przecięciu, jako równoznacznik, liczyć 1 korzec jęczmienia, czyli po straceniu 2 garncy dla młynarza—197 fun.

3. Groch. W wielu miejscach się nie rodzi zupełnie, wielu zresztą nie lubi grochu. Zamożniejsi zjadają 1/2—3/4 korca, biedniejsi nic, albo 1/4 wzięte najczęściej we dworze na odrobek. Maximum więc można liczyć 1/2 korca t. j. 130 fun.

4. Mleko. Najwięcej mogą mieć tyle, co służący dworscy, gdyż krowy służących zwykle dostają lepsze pastwiska, niż krowy włościańskie. Maximum więc liczyć można mleka 500 kwart czyli 1,250 fun.¹⁾

5. Kartofle. Kartofli małorolny nigdy przecięciowo nie ma więcej nad 35 korcy. Po odliczeniu na obierki, dla świń, na niedojedzenie i na zgnicie—otrzymamy tak jak i dla służącego maximum 18 k., 5,040 fun.

6. Kapusta. Maximum 400 fun.

¹⁾ W Nr. 1 Głosu przy wyliczeniu tego, co zjada służba, przez omyłkę kwarta mleka policzoną została 3 fun.; rzeczywiście waży około 2,5. Prostując to, nadmienię, że omyłka ta wielkiej różnicy w wyliczeniu nie zrobiła (8 fun. białka, 9 fun. tłuszczu), należy więc o wskazaną ilość zmniejszyć maximum, co lepiej potwierdzi ogólny wniosek, że służba 2/3 tylko białka i tłuszczu zjada.

7. Słonina. Z wyjątkiem 7 tygodni postu, maximum można liczyć 1 funt tygodniowo, czyli 45 fun.

8. Mięso. Większość wychowanego wieprzaka sprzedaje i mięsa cały rok nie widzi, szczególnie w ostatnich krytycznych latach; że jednak zdarzają się tacy pomiędzy zamożniejszymi, którzy zjadają część wieprzaka,—resztę sprzedają we wsi, a w danym razie wyliczam maximum, więc może ono stanowić 50 fun.

9. Jaja. Zwykle sprzedają przekupniom, wyliczając jednakże maximum muszą wziąć około 300.

Przeliczywszy na części pożywne—otrzymamy:

| | Białka | Węglow. | Tłuszcz |
|------------------------|--------|---------|---------|
| 1. Żyta 1294 f. | 128,1 | 846,28 | 20,70 |
| 2. Kaszajęcz. 197 f. | 15,76 | 116,03 | 3,35 |
| 3. Grochu 130 f. | 26,26 | 70,72 | 2,21 |
| 4. Mleka 1250 f. | 40 | 56,25 | 45 — |
| 5. Kartofli 5040 f. | 55,44 | 1149,12 | 15,12 |
| 6. Kapusty 400 f. | 4,4 | 24 | 0,8 |
| 7. Słoniny 45 f. | — | — | 45— |
| 8. Mięsa wieprz. 50 f. | 7,65 | — | 13— |
| 9. 300 jaj | 4,38 | — | 3,07 |
| Razem | 281,99 | 2262,40 | 148,25 |

Osób w rodzinie małorolnego trzeba liczyć tak samo, jak w rodzinie służącego, z posyłką 4 1/2, gdyż tu zamiast posyłki zawsze znajdują się dorosłe dzieci, które tam od wyliczeń usunąłem, dla tego, że u służącego dorastające dziecko jest właśnie posyłką, która i tak weszła do rachunku. Dla potwierdzenia niejako, że przeciętna rodzina małorolnego składa się z 4 1/2 osób, przytaczam dane z pewnej wsi mniej, więcej przeciętnej. Na rodzinę w tej wsi wypada:

| | |
|--|----------------|
| 1. Starych | 0,27 |
| 2. Dorosłych | 2,67 |
| 3. Dzieci 3,33, że zaś je liczę tylko za pół osoby | 1,67 |
| Razem | 4,61 dorosłych |

Te 4 1/2 osoby przy średniej robocie powinny zjadać:

B. WW. T.

531—2250—252, a w rzeczywistości zjadają najwyższej 281—2262—148,25, czyli, że brak do normalnej porcji 47% białka i 41% tłuszczu. Stosunek białkowych do reszty, jak 1 : 9,3, gdy powinien być jak 1 : 5,4. Stosunek białka zwierzęcego w tym pokarmie do roślinnego, jak 23 : 100, gdy w normalnym pokarmie winien być, jak 85 : 100, a nawet,

święca krzepieniu słabych, trzeźwieniu sennych, podnoszeniu upadłych. Ona to przywraca Eilertowi Lövborgowi dawną energię i siłę i zdjąwszy z tego olbrzyma myśli a zmysłów niewolnika technieniem idealnej miłości mgłę alkoholizmu i kał półświatkowy, tworzy autora proroczego dzieła o „Kulturze przyszłości”. Ona tworzy, więc Hedda niszczyć będzie, i odrodzonego zmartwychwstańca w starem znów zanurzy błocie. Z uśmiechem syreny zbliża się do niego i rum gorący podaje. On zna swoją słabość, więc kielich odpycha, ale piekielna zręczność Heddy łamie dobre zamiary. On musi upaść, pani Elvsted, ta biblijna Lea, tryumfować nie będzie, a przytem to tak pięknie, gdy młodzieniec niezwykle wróci z płomienną żrenicą, z liściem winnym we włosach, jak atenczyk klasyczny po uczcie świątecznej. Tak myśli Hedda i pograża w noc bez końca tego, który zmartwychwstał pod zaklęciem ciepłego serca prawdziwej kobiety. I poszedł Lövborg, i zmysły rozpienił, i noc całą u stóp diwy operetkowej przepędził, zgubiwszy cenny manuskrypt swój, wspólne dziecko własnego genjuszu i anioła-kobiety. Przypadkiem Tesman, Heddy małżonek, znajduje rękopis przyjaciela, rękopis, na którym Lövborg całą przyszłość swoją buduje. Hedda go odbiera, lecz gdy Lövborg staje przed nią szalony z rozpacz, gdy z boleścią mówi jej, że zabił swoje i Thei Elvsted dziecko, sprostyrowawszy je wprzódy, ona nie szepcze słowa zbawienia, nie wraca rękopisu, lecz cisnie mu w ręce pistolet, by wreszcie coś się stało, w czem „piękność spoczywa”. A potem pali manuskrypt: „Teraz palę dziecko twoje Thea! Ty z kruczym włosom! Twoje i Eilerta Lövborga dziecko”.

W czwartym akcie następuje katastrofa. Hedda, która w łonie swoim czuje pierwsze drgania macierzyństwa i z całej duszy już nienawidzi to dziecko, co je nosi pod sercem, oczekuje rozgorączkowaną, zdenerwowaną i pełną znużenia wieści o Lövborgu. Ona kazała mu „wpleść winne liście we włosy” i dać dowód, że są istoty, które mają „dość siły i woli, by tak rychło opuścić zyciowe święto”. Będzie to czyn „oświetlony promieniami piękności”. Jakież jednak następuje rozczarowanie. Jeden z jej wielbicieli, radca sądowy Brack, przynosi wieści fatalne. Lövborg nie żyje, ale śmierć jego nie była dziełem samobójstwa. Szalony z bólu i zwątpienia pobiegł do owej diwy operetkowej, u której noc ubiegłą przepędził. Pijany kłótnię rozpoczął, mówił o dziecku zabitem,—i znaleziono go nieżywego u stóp koty z pistoletem wystrzelonym w bocznej kieszeni surduta. Broń przypadkiem wypaliła i kula śmiertelna w brzuchu mu uwięzła. W brzuchu? Fuj! Hedda marzyła, że on mógł sobie przewierci, albo pierś przesyże, bo „i to dobrem jest miejscem”, ale brzuch? Hedda się wzdryga, jej spotwarzane pragnienia piękna romantycznego oburzają się z dziką goryczą. „O! ta śmieszność, o! ta nikczemność! Kładą się one jak kłatwa na wszystko, czego tylko dłoń moja się dotknie”. Lecz tu nie koniec udreczeń Heddy. Pistolet, który śmierć Lövborga spowodował, jest w ręku władz policyjnych, a Brack go widział i Heddy własność rozpoznał. Jeśli Brack słówko tylko rzeknie, skandal staje się nieunikniony, Hedda pozwana przed kratki sądowe. Więc pójdzie i powie, że pistolet skradziony, że Lövborg złodziejem? Nigdy. Tu znowu odzywa się romantyczna struna w głębinach duszy tej skompli-

kowanej istoty. Ona w Lövborgu widziała wcielenie własnych indywidualnych pojęć o pięknie, on był dla niej uosobieniem wolności, siły i poezji, więc słowo „złodziej” z ust jej nie wyjdzie. Hedda rozumie, że jest skazaną na łaskę i niełaskę tego zręcznego salonowca, którego uśmiech mówi jej wyraźnie, że za milczenie płaci się upadkiem. Ona, która niczego więcej nie pragnie, jak bezwzględnej niezawisłości, czuje się teraz niewolnicą przeciętnego, pospolitego don-żuana, którego dwuznaczniki pieprzne ją bawią, który atoli jest niczem jak „pospolitym fachowcem” w rodzaju innych mieszkańców tego komicznego (drolig), ordynarnego świata. Więc Hedda chwytając pistolet i biegnie do buduaru swego. Słychać, jak dłoń jej szalonym ruchem przebiega klawisze i dziką wygrywa melodyję, a potem strzał—i przestał istnieć chorobliwy organizm, którego struny potargane stworzyły najfałszywszych dźwięków orkiestrę. „Na Boga! takich rzeczy nie robi się przecież!” Temi słowami radcy sądowego Bracka kończy się ten nowy Ibsenowski dramat, za którym, jak za każdą kreacją norweskiego mistrza, setki ukrytych widać domyślników i setki nowych znaków zapytania.

Krytyka niemiecka wobec Heddy Gabler na dwa wrogie rozdzieliła się obozy, z których jeden woła „Ibsens Ende”, drugi „Ibsens Triumph”. Sceptycy powtarzają zarzut, już tylokrotnie Ibsenowi uczyniony, zarzut, który streścić można w znanej formule: „Postać bohaterki nie jest realną, to wytwór rozkiełzanej wyobraźni”. Tę samą piosenkę słyszełmy już przy charakterystyce „Rebekki”, „Nory”, „Oblubienicy morza” i t. d., a źródła takich sądów szukać należy w wyjątkowej

jak twierdzi pan Filipowicz, dla rolnika w naszych warunkach białko zwierzęce powinno conajmniej stanowić 51,2%, czyli znajdować się do roślinnego jak 105:100. Taki stosunek białka zwierzęcego do roślinnego jest bardzo ważny z tego względu, że białko zwierzęce jest daleko strawniejsze, niż roślinne (albuminaty). Z tego wyliczenia możemy się przekonać, że pożywienie małorolnych pod względem ilości i jakości nie może być wystarczające dla normalnego człowieka; białka i tłuszczu brak w najlepszym razie około połowy, białka zwierzęcego zupełnie niewystarczający procent; stosunek części pożywnych wprost niemożliwy 1:9,3! Węglowodanów tylko dostateczna ilość. Głodny żołądek małorolny zapycha jeszcze w większym stopniu, niż służba, kartoflami.

Cóż powiedzieć o bezrolnym; ten wszystko, co mu trzeba, musi kupić, żeby mieć tylko to, co zjada małorolny.

Według załączonego wyżej obliczenia, musi za to zapłacić conajmniej 50 rubli, czyli pracować cały rok, biorąc po 17 blisko kopiejek dziennie. Jeżeli gdzie i wypadnie taka przeciętna płaca, to już nigdzie absolutnie bezrolny nie ma zarobku przez wszystkie dnie w roku, czyli że sam nie może zarobić nawet na takie lichy utrzymanie dla rodziny, jakie ma małorolny. Przypuściwszy więc nawet, że dzieci i żona zarobią na odzienie nędzne dla całej rodziny i inne konieczne wydatki, w każdym razie byt bezrolnego jest jeszcze dużo gorszy od bytu małorolnego.

Trudno, naturalnie, przedstawić w jakichś cyfrach wszystkie stopnie tej wielkiej nędzy naszych małorolnych i bezrolnych mas, gdyż byt ich zależny; jest od wielu przyczyn; w każdym razie stanowczo twierdzić można, że przy zmniejszeniu się zarobków w ostatnich latach przesilenia rolnego i nieurodzajów—najdotkliwiej to dało się uczuć tym, co żyli z zarobku (w znacznej części przynajmniej), a więc małorolnym i bezrolnym, i że wskutek tego wpadli oni w straszna biedę, jak to wiadać z maksymalnego wyliczenia pożywienia małorolnego. Nędzne pożywienie małorolnych i bezrolnych mniej-więcej tak się przedstawia:

Na śniadanie: kartofle z octem lub mlekiem, kartofle, kapusta z okrasą, lub kartofle z wodą, lub kartofle i kluski z mlekiem lub octem (najbardziej kluski rzadko jedzą).

Obiad: Jedna potrawa:

Kartofle z octem lub mlekiem lub
Kapusta, groch z okrasą lub bez

Kartofle, kapusta
Groch z octem
Kartofle z wodą
Kasza

Kolacja: Kartofle z octem, wodą lub mlekiem, lub kapusta, kartofle.

Zdarzało mi się spotykać i następujące dania: *rano* kartofle z octem, w *południe* kartofle z wodą, na *wieczór* kartofle z wodą lub octem! Niektórzy jadają tylko dwa razy na dzień (w zimie), dlatego, że kartofle się w tym roku nie urodziły i może niewystarczyć do wiosny. Wogóle—im biedniejszy, tem mniej je klusków, grochu, kaszy, zadawalniając się kartoflami i kapustą nieraz „ze szczerą solą” (bez żadnej okrasy, mleka ect.). Znam bezrolnych, co przez rok zjedli wraz z rodzinami tylko po 1½—2½ korcy żyta, ¼ korca grochu, trochę kaszy, trochę okrasy, a zresztą żyli samymi kartoflami, kapustą i niewielką ilością mleka od 1 krowy; przez całą zeszłą jesień nie widzieli ani klusek, ani grochu! „Trzeba życie ratować, jak można”—mówią: *chleba nie jedzą mało i bezrolni cały rok*, najwyżej w święta i żniwa widzą go na swoim stole.

Co się tyczy odzienia, to małorolni, a tem bardziej bezrolni—nie są w stanie wydać około 30 rubli na odzienie niezbędne dla rodziny swojej; większość chodzi w połatanych łaćmanach; najwięcej dbają o to, żeby na zimę mieć kożuch i buty dla siebie i jakiś przynajmniej „sukmanek” dla starszych dzieci,—młodsze chodzą nawpół nago, dodzierając resztek łaćmanów po rodzicach.

Mieszkają małorolni i bezrolni w chałupach, które pod każdym względem ustępują mieszkaniom służby folwarcznej; brak pieniędzy na naprawę, która zwykle pociąga dosyć znaczne koszty, a także brak dostatecznego opału powodują, że w zimie w czasie silniejszego mrozu, a szczególnie wiatru, w źle opatrzonych chałupach woda zamarza.

W końcu listopada r. p. widziałem przy 10° mrozu i wietrze chałupy w środku jakby wybielone szronem; temperatura o godzinie 8—9, po ugotowaniu już śniadania, dochodziła za ledwie 4°. Trudno opisać uczucie, jakiego się doznaje, gdy się wejdzie do środka: w wilgotnej, zimnej, pustej izbie w rogu stoi łóżko, nakryte brudną płachtą; kilkoro drobnych dzieci siedzą na niem w pierzynach lub łaćmanach. To znów koło komina w innej izbie siedzi grzejąc się parą brudnych dzieciaków; w trzeciej na blasze na drewniakach siedzą te nędzne istoty.—Za opał służą teraz ko-

zenie z wykarczowanych lasów; co będzie później, gdy i tego zabraknie,—trudno sobie wyobrazić.

Małorolni i bezrolni zjadają najwyżej połowę porcy, niezbędnej dla normalnego organizmu, zapychając głodny żołądek kartoflami; natomiast, nie mając przytem ani odzienia, ani mieszkań, chociażby tylko znośnych, wloką swe życie inaczej, niż ludzie normalni.—Życie takie musi prowadzić do poważnych zmian w ustroju organizmu i prędzej lub później do zupełnego rozstroju takowego. Organizmy słabsze, szczególnie dziecięce, nie mogą w większości wypadków wytrzymać w takich twardej warunkach życiowych, i pomiędzy nimi, a głównie najbiedniejszymi, panuje ogromna śmiertelność;—lecz i te silniejsze, które wytrzymały najkrytyczniejszy czas dzieciństwa, nie są organizmami normalnymi.—Dość spojrzeć na takiego malca, na twarz jego szarą, rozlaną, podobną do kartofla, na przycięte oczy, na brzuch nieraz ogromnie wydęty, żeby się przekonać, że to jakaś nawpół tylko już ludzka istota,—istota, która przystosowała się do nędznych warunków życiowych, do jedzenia z małymi wyjątkami ciągle tylko pod rozmaitemi postaciami kartofli. To prawdziwie jakaś nowa rasa ludzi, to nasze kartoflane natury.

Bieda, szerząca się wśród proletaryjatu w ostatnich dwóch latach nieurodzaju, nie przechodzi, nie zostawiając po sobie śladów, jakoto: zwiększonej śmiertelności, rozpowszechnienia różnych chorób i t. d. W ostatnich latach wśród ludu z konieczności zapychającego się samymi kartoflami, jak twierdzą lekarze, mający rozległą praktykę wśród sfer najbiedniejszych—rozpowszechniły się bardzo choroby narządów trawienia. Przewlekły katar kiszki i żołądka (enteritis et gastritis chronica) nie trapi już miast tylko,—rozpowszechnia się i na wsi. Od ciągłego zapychania się kartoflami następuje też zanik mięśni kiszki (zła peristaltyka), rozszerzenie kiszki (dilatatio ventriculi) i jako skutek obstrukcyja. Wskutek wycieńczenia, osłabienia organizmu, bywa często kurza ślepotą. Zauważono także u ludzi młodych, przedtem normalnych i dietnych, zupełny zanik popędów płciowych. Oprócz tego wskutek zaziębnienia się (brak odzienia i ciepłego mieszkania) i z drugiej strony wycieńczenia organizmu—grasują między ludem w ostatnim szczególnie roku rozmaite zaraźliwe choroby: tyfus, ospa, dyfteryt etc., zabierając setki ofiar. Wzrost nędzy w osta-

istocie kreacji norweskiego mistrza. Reprezentant lub reprezentantka tendencji autora zawsze nieomal odznacza się demoniczną oryginalnością i krańcowym subiektywizmem, a wszystkie zawikłania dramatyczne, cały tragizm Ibsenowski koncentruje się zwykle w kolizji przeciętnego typu i niepodległego, nadzwyczajnego indywidualizmu. Nora i mąż jej, lekarz-filantrop i egoistyczne mieszczaństwo (Volksfeind), Hedda, chorobliwy wytwór spaczony kultury, i Tesman filister z otoczeniem swoim,—wszędzie przyczyna i rdzeń kolizji jest równy, inną tylko naturą czynników poszczególnych. Czyż jednakże Hedda jest rzeczywistie taką wyjątkową istotą? Tak i nie. Z jednej strony jest ona bowiem rodzoną siostrą Maupassantowskich i Bourgetowskich bohaterów, jest ona typowym owocem zepsutej cywilizacji,—z drugiej natomiast tkwi w niej jądro oryginalne, tkwi owo subiektywne marzycielstwo i fałszywego piękna pojęcie, które może być konsekwentnym i naturalnym wynikiem choroby wieku, które atoli w tym stopniu i w tej formie do objawów rzadkich i dziwnych zaliczyć wypada. Na tle Ibsenowskiego dramatu, wśród zdrowych „fachowców”, w harmonii istot przeciętnych, które niemiec wyrazem „Alltagsnaturen” określa, jest Hedda fałszywym i oderwanym akordem; w otoczeniu francuzkich dekadentek, w otoczeniu wykrzywionych mężczyzn i kobiet, które snują się na kartach głośnego romansu „Notre coeur”—byłaby Hedda mniej więcej „en famille”. Zdaniem naszym protest Ibsena przeciw istocie bohaterki swojej jest zupełnie wyraźny i tendencyjny przybrania kobiety „fin de siècle” w arlekinowe szaty jasno zarysowana, chociaż mówi, że słynny dramaturg zastrzegł się w ust-

nym interwiewie przeciw wszelkiej tendencyjności i zapewniał o bezwzględnym obiektywizmie. Czyż bowiem można przypuścić, że poeta, który bohaterce swojej pozwala lamentować nad brakiem liści winnych we włosach pijanego kochanka, który pozwala jej rozpaczć nad tem, że samobójca miasto mózgu brzuch sobie przewiercił, czyż można przypuścić, że on nie ma zamiaru krzyknąć nam w uszy: Patrzcie, jak ohydny, jak śmiesznym jest to spaczony stworzenie! Z protestu jednak przeciw Heddy naturze nie wypływa bynajmniej apoteoza jej otoczenia. Mówiąc Heddzie, że ona zgnitym owocem, nie powiada Ibsen bynajmniej, że Tesman bohaterem, wypisując na czołe Heddy wyrok potępienia, nie wręcza Ibsen Tesmanowi dyplomu na profesora ludzkości. Tesman jest karłem typowym, jest płytkim karyjerowiczem, który po za „historiją średniowiecznego przemysłu w Brancanie” świata nie widzi, jest śmiesznym, wiecznie zawisłym i tchórzliwym pieszczochem naiwnych ciotek, które go wychowały, jest małoduszny egoistą—zresztą „porządnym” człowiekiem. A Lövborg, ten genialny Lövborg, który jak Prometeusz rwie się do nieba, by wykraść płomień święty i tory przyszłości oświetlić, a łańcuchem zmysłów przykuty do skały ku niebu wlecieć nie może,—czyż i tu wcielenia sympatii Ibsenowskich szukać nie należy? Ibsen! Ibsen! krzyczą wokoło,—i już wstają z nor swoich filistry niemiecocy, ci rodzeni Tesmana braciszkanie, już się podnoszą ci „porządni ludzie”, stróżowie moralności publicznej i kochankowie figowego listka, aby powiedzieć wielkiemu poecie: „Ty a Lövborg to jedno: ty apostoł pijaństwa, ty helota zmysłów, ty burzyciel etyki chrześcijańskiej”. Tak

mówią i w kancelaryjach uniwersyteckich plują szeregi profesorów na mistrza, i w salonach, gdzie bogiem jest plaster przyzwoitości, szepczą coś o błocie Ibsenowskim, a z ambon ostrzegają pastory przed wielkim anarchistą. Identyfikowano Ibsena z Norą, identyfikowano go z Rosmersholmem, identyfikowano go z „Volksfeind”, a zapomniano, że poeta indywidualizuje bohaterów swoich, że cząstkę tylko swej duszy w nich kładzie, że Nora nie jest Ibsenem, tylko kawałkiem Ibsena. Dlatego też błędem jest niesłychany autor Heddy utożsamiać z Lövborgiem, chociaż w genialnym rozpustniku znać Ibsenowskie sympatyje. Ta jego niezawisłość, to omijanie utartego, konwencyjonalnego szlaku, to obrzydzenie dla pedanterii i filologicznej drobiazgowości—oto postulaty Ibsena; ale któż sprawiedliwy może się odważyć, że Lövborga słabość moralna, że jego zmysłów tyranija—to kult niemocy, którego kapłanem jest poeta. Ja w Heddzie Gabler słyszę tylko te hasła indywidualnej wolności, które już w Norze, które w Rosmersholmie, które we wszystkich Ibsenowskich słyszałem kreacjach, a potem widzę tam protest wyraźny przeciw feminizmowi piśmiennictwa, przeciw rafinerii kultury naszej, przeciw Lisystratyzmowi społeczeństwa. Raz trzeba krzyknąć „Veto” tym rozsiewaczom bakterij społecznych, którzy i u nas grasować zaczynają! raz trzeba złamać zasadę tego wygodnego, ale niebezpiecznego „Laissez faire”.

Władysław Rabski.

tnim roku przybiera zatrważające rozmiary, wskutek czego zwiększa się śmiertelność, a zmniejsza liczba urodzeń.

Dane, jakie zebrałem z kilku parafij, doskonale to uwidoczniają. Przedstawić w procentach śmiertelność i liczbę urodzeń trudno, gdyż liczba mieszkańców zwykle podana jest dosyć niedokładnie, ograniczyć się przeto trzeba na faktycznych danych z parafjalnych ksiąg śmiertelności i urodzeń.

Ś m i e r t e l n o ś ć:

| Parafia | Drobin | Rogótworsk | Leg | Śłupia | |
|-----------|--------|------------|-----|--------|---------|
| 1886 | 64 | 44 | 34 | 31 | i t. d. |
| 87 | 60 | 49 | 52 | 18 | |
| 88 | 60 | 52 | 35 | 23 | |
| 89 | 95 | 60 | 57 | 33 | |
| Do 1 gru- | 90 | 86 | 77 | 65 | nie mam |
| dnia | | | | | danych. |

U r o d z e n i a:

Drobin:

| od 1860-65 r. przecięciowo | od 85-89 r. urodzeń | wzrost | wzrost ludności w przybliżeniu |
|----------------------------|---------------------|--------|--------------------------------|
| 131 | 147 | 12,2% | 45—50% |

Rogotworsk:

| | | | |
|------|------|-------|-----|
| 84,2 | 99,2 | 17,8% | 55% |
|------|------|-------|-----|

W innych parafjach zupełnie to samo, ale dla braku miejsca nie przytaczam odnośnych cyfr. Słowem liczba urodzeń w naszych parafjach stosunkowo zmniejsza się, śmiertelność zaś gwałtownie wzrasta. Prawdopodobnie w całej gub. płockiej proces ten idzie w tym samym kierunku, gdyż parafje te nie są pod żadnym względem wyjątkowymi, a zresztą wszędzie w całej gubernii, słyszy się skargi na ogromną śmiertelność, szczególnie w ostatnich dwóch latach. Jeżeli, co jest prawie faktem, w całej gubernii w tym samym stosunku wzrasta śmiertelność,—to, co najmniej, kilka tysięcy ludzi umarło z nędzy i wycieńczenia.

Chociaż ogromną śmiertelność w całej gubernii w części przypisać należy nieurodzajowi ostatnich dwóch lat, a szczególnie nieurodzajowi kartofli, to jednakże bądź co bądź w znacznej części przyczyniła się tutaj i ogólna bieda wśród proletaryjatu rolnego, nieznajdującego dostatecznych zarobków, które mogłyby go uchronić od śmierci głodowej. Z ogromnej masy małorolnych rok rocznie wskutek wzrostu ludności i niemożności już dalszego dzielenia osad i tak już nieraz mikroskopijnych—część staje się prawdziwym, bezdomnym proletaryjatem, liczącym tylko na dostanie się do służby lub na zarobek we dworze. Masa ta, zwiększając się liczebnie, coraz na mniejszą ilość zarobku liczyć może, gdyż i bez tego kryzys ekonomiczny pcha właścicieli ziemskich do ograniczenia wydatków na robociznę, a bankrutwa właścicieli zupełnie pozbawiły wiele wsi zarobków. Co się z tym proletaryjatem stanie? Pytanie to nader ważne, gdyż bezrolni to ostateczny niejako produkt naszych teraźniejszych stosunków rolnych, a małorolni to tylko stopień przejściowy do nich. Pamiętać też należy, że nie tylko w gub. płockiej, ale i w kraju całym licznie mnożąca się po uwłaszczeniu ludność wiejska dąży w tym kierunku; w Lubelskiem, gdzie działały się stosunkowo dwa razy większe, wytwarza się już teraz wielu małorolnych, po parę rodzin siedzi w dawnej ojcowskiej chałupie; na Ukrainie nawet już zaczynają się skarżyć na to samo. Niedługo będzie to kwestyja ogólno-krajowego znaczenia, gdy dziś ma ona może jeszcze tylko miejscowe.

Włościanin—małorolny—bezrolny—oto kierunek, w którym tak czy owak pójść musimy siłą teraźniejszego ukształtowania się produkcji rolniczej; możemy znaleźć inne wyjście z tego położenia w jakie teraz całą siłą pary pędzimy. Czyż nie można jakimś innym sposobem uniknąć tego bezwzględnie i strasznego procesu, wyrzucania tysięcy ludzi z ich zagród i pozbawionych sposobu do życia oddawania na łaskę i niełaskę „panów.” Sądzę, że długie już lata praktyki w tym względzie odbyła Europa zachodnia w przemyśle i rolnictwie, — a z tej praktyki i nam skorzystać należy. Praktyka ta wskazuje, że idąc opuściwszy ręce tą drogą, dojdziemy do tego, do czego doszła Anglia, która, doczekawszy się niezmiernego rozwoju przemysłu, doczekała się również i strasznej nędzy wśród niższych warstw ludności, doczekała się tego, że z wyjątkiem nieznaczej

i wciąż malejącej garści społeczeństwa, opływającej w dostatki i korzystającej w całej pełni z nabytków cywilizacji—cała masa narodu coraz głębiej i głębiej pogrąża się w otchłań nędzy, że rok rocznie milion robotników wyrzucanych bywa na bruk bez zajęcia po to, by marnie zginąć. I my, dopóki produkcja nasza rolnicza będzie szła dalej dotychczasową drogą, nie możemy liczyć na jakieś gruntowne polepszenie losu warstw pracujących i z konieczności patrzeć będziemy na takie nienormalne rzeczy, jakie teraz się już dzieją—że z Płockiego naprzykład wywożą setki tycięcy korcy zboża, gdy jednocześnie połowa ludności co najmniej, wytwarzająca to zboże, systematycznie się głodzi, i z głodu nawet umiera; że ludność nie ma zajęcia, gdy tuż obok leżą pola odłogiem lub źle uprawne. Łańny naszej gubernii mogłyby wyżywić, przy innej organizacji gospodarstw rolnych, już dziś dwa razy licniejszą ludność, gdy teraz wskutek chaosu w tej produkcji i prywatnej dowolności ogromna większość ludności głodzi się, karłowacieje, wyradza, przedwcześnie wymiera, lub ucieczką ratuje się przed śmiercią głodową. W dążeniu do zaprowadzenia ładu w chaotycznie odbywającej się teraz produkcji rolniczej i w ogóle w dążeniu do gruntownych reform w tym kierunku należy widzieć nadzieję zmienienia się tych nienormalnych stosunków.

A. Hempel.

Walka z dziedzicznością.

M. Guyau—*Wychowanie i dziedziczność*, Warszawa 1891.

Nie mam zamiaru streszczać tu całej pracy zgasłego przedwcześnie filozofa; uwydatnię tylko myśl jego główną, wskażę parę rysów powinowactwa jego z pisarzami innymi i postaram się określić społeczne znaczenie wyznawanych przez niego zasad. Nawiasowo wspomnę o niektórych poszczególnych poglądach autora, mających doniosłość pewną nie tylko dla pedagogów, ale i dla ogółu szerszego.

Zadaniem książki jest wyświetlenie stosunku oraz pogodzenie dwóch sprzecznych ze sobą czynników życia: dziedziczności i wychowania. „Zapytywano siebie, powiada autor w przedmowie, czy wychowanie ma cel osobisty czy też społeczny; ma ono obydwie te cele razem: jest właściwie poszukiwaniem sposobów pogodzenia życia osobniczego, najbardziej nateżonego, z życiem społecznym, najbardziej rozciąglętem”. Z drugiej jednak strony utrzymywano nieraz, że skutek wychowania, że „wszelka wyższość duchowa w walce o życie była dla rasy wyrokiem śmierci, że postęp odbywał się drogą istnego pochłaniania osobników albo nawet ludów, które dlań pracowały najwięcej, że najlepszym warunkiem długiego trwania było życie jak najmniej uduchowione, oraz że wszelkie wychowanie, usiłujące rozbudzić zbytnio zdolności dziecka... tem samem dąży do zabicia go, we krwi jego i w rasie... Słowem, pomiędzy władzą, przez niektórych myślicieli przypisywaną wychowaniu, oraz tą, jaką inni przypisują dziedziczności—istnieje pewne przeciwieństwo (antynomia), opanowujące wszelką naukę moralną, a nawet politykę, gdyż polityka również staje się bezsilną, jeśli skutkom dziedziczności zaradzić niepodobna! Dwa te czynniki nie są niczem innym, jak tylko nałogiem dziedzicznym czyli pokoleniowym oraz nałogiem osobniczym; z tych jeden znalazł już swe wcielenie w narządach ustroju, drugi zaś zostaje nabytym. Zarysowuje się tu odrazu pedagogiczne stanowisko autora: wychowanie polega dlań na tworzeniu nałogów osobniczych, mających zwalczać, zobojetniać, osłabiać złe, albo też potęgować, wspierać dobre nałogi dziedziczne. „Stwierdzono dzisiaj, że można często przeciwważyć manię albo nałóg nieprawy przy pomocy sztucznego nałogu, wytwarzanego za sprawą poddawania w czasie snu hypnotycznego”. Tutaj więc, odślania się już przed nami nawet mechanizm owego tworzenia nałogów osobniczych: mechanizmem tym jest poddawanie; hypnotyzm ze swemi sugestyjami stanowi jak gdyby ostry

przebieg tej sprawy, życie codzienne i życie społeczne w ogólności przedstawiają przebieg jej przewlekły — umiejscowiony albo pospólny (epidemiczny), o wiele słabszy, ale natomiast trwający znacznie dłużej, ciągle się odtwarzający. „Ztąd wynika prawo: wszelka wola silna dąży do wytworzenia woli o takim samym kierunku w osobnikach innych... Drugie prawo powiada, że stopień zaraźliwości danego przekonania, a tem samem danej woli, pozostaje w stosunku prostym do siły jego nateżenia i, że tak powiemy, do siły jego najpierwszej *realizacji wewnętrznej*”. Przewidujemy też tutaj niepoślednią doniosłość *wiary* w sprawie wychowania.

Nie należy posądzać autora o zbytnią prostotę w pojmovaniu wpływów sugestyi. Naprzód, rozumie on, że jej działanie musi być pośredniem, nie zaś bezpośredniem i natychmiastowem. „Uczucie jest rzeczą bardzo złożoną, tak dalece złożoną, że rodzice nie powinni wyobrazać sobie, iż mogą je wywołać jednym jakimś wyrzutem”.

Ze wszystkich rodzajów poddawania najpotężniejszym jest sugestyja czynu: ztąd wielkie znaczenie dobrych i złych przykładów. Niemniej ważnymi też okazują się prawidła i przepisy postępowania, będące sformułowaniem, jakgdyby uplastycznieniem tego, co niejasno i niewyraźnie tkwiło w wyobrazeniach rozpierzchłych. Można też, wraz z autorem, domyślać się, jakie znaczenie musi mieć „sugestyja zawodowa”, sugestyja danego powołania: stwarza ona również pewną grupę nałogów osobniczych, tak lub inaczej oddziaływających na nałogi odziedziczone; podobnież, można odgadnąć, jakie znaczenie wychowawcze posiadać mogą... mundury i uniformy wszelkiego rodzaju: są to jakgdyby zrealizowane, ukonkretnione, a stale działające sugestye... Ale oto „istnieje pewne powołanie powszechne, powołanie *człowieka*. Rola wszystkim wspólna—rola istoty towarzyskiej; potrzeba więc aby idea społeczeństwa i towarzyskości, poddawana od dziecka, używotnioną była, jakgdyby, w taki sposób, iżby przystosowała do siebie całą istotę; potrzeba, aby ideał ludzkości dzisiejszej stanął przed instynktami dziedzicznymi dziecka i zmienił je w kierunku własnym.

Jeżeli mechanizm wytwarzania nałogów osobniczych polega na sugestyi, to zachodzi pytanie, w czym tkwi potęga tej ostatniej? Jak wytlómaczyć sobie jej działanie?

Potęga to jest wewnętrzna, swoista siła *idei* albo *wyobrażenia*. Wyobrażenie, rozważane przedmiotowo, jest pewną fizjologiczną czynnością mózgu, czynnością pozostawiającą w nim swoje ślady. Nie dziwna przeto, że czynność fizjologiczna — wyobrażenie — powtarzając się wielokrotnie, wpływając na zmianę budowy naszych narządów czucia i myślenia, może też wpłynąć w końcu na inną czynność fizjologiczną, jaką jest działanie nałogów odziedziczonych; może, z biegiem czasu odpowiadającą im budowę narządu zmodyfikować.

Pomijam mnóstwo szczegółów ciekawych, pomijam wszystkie wywody autora, wpływające z założenia głównego, a dotyczące genety instynktów moralnych, ewolucji i dysolucji moralności, pomijam szczegółowe, a dla pedagogów cenne wskazówki o wychowaniu fizycznym, moralnem i umysłowem. Uwydatniwszy myśl główną, mogę przejść teraz do zaznaczenia kilku rysów duchowego pokrewieństwa autora z innymi myślicielami. Kiedy Guyau zaczynał pisać swą książkę, w sferze t. zw. sugestyi hypnotycznej istniało za ledwie parę prób doświadczalnych Richeta. Później oprócz d-rów: Charcot, Richet i Bertillon w Paryżu, Liébault, Bernheima, Beaunis i Liegeois w Nancy do ostatecznego stwierdzenia siły i wpływów sugestyi hypnotycznej przyczynili się autorowie następujący: Fontan i Ségard; Schrenck-Notzing w Monachium, Forel w Zurychu; von Benterghem w Amsterdamie; Moll w Berlinie, Wetterstrand w Sztokholmie.

O zastosowaniu „poddawań” do wychowania poraz pierwszy, o ile wiem, pisał Delboeuf przed laty kilku, mając zresztą na względzie dzieci nienormalne — wychowawców z domów poprawy.

Odtąd sprawa ta wielokrotnie była już roztrząsaną; u nas na znaczenie sugestyi w wychowaniu uczuć zwracał uwagę p. Dawid; zaś prof. Cybulski, w dziełku swem o hypnotyz-

mie, wskazał niebezpieczeństwo zbyt łatwego szafowania sugestyjami hypnotycznymi. Zestawienie tej ostatniej sugestji z poddawaniem codziennego życia kusilo już niejednokrotnie wielu autorów: p. Dawid na tem tle osnuł teorię swojej „zarazy moralnej”. Ale do najznakomitszych przedstawicieli takiego poglądu należy socjolog francuzki Tarde: jego *Lois de l'imitation* są właśnie tylko obszernem i cokolwiek paradoksalnym, może, rozwinięciem tej analogii. Pokrewieństwem Tarde'a z autorem jest zresztą jeszcze głębsze: dla pierwszego uleganie życiowej sugestji czyli naśladownictwo jest wyrazem pewnego ogólnego prawa przyrody, prawa rytmu, które w świecie psychicznym objawia się, jako upodobanie do wielokrotnego powtarzania stanów, już doznawanych dawniej. Dla M. Guyau—upodobanie takie jest podstawową racją uśladowania zarówno innych osobników, jak i siebie samego. Wewnętrzna siła wyobrażenia (idei), będąca, jakgdyby, źródłem wpływów wychowania, umożliwiającą modyfikację budowy mózgu, a tem samem wytwarzanie nałógów nowych i usuwanie albo potęgowanie dziedzicznych, — również jest pomysłem, z którym zdołano się już wypowiedzieć w piśmiennictwie przed ukazaniem się pracy autora. U nas, jako z teorią oryginalną, wystąpił z nim p. Dawid: było to właśnie *point de départ* jego „Zarazy”. Przed tem jednak, Ribot w „Chorobach woli”, a jeszcze dawniej, jakkolwiek mniej wyraźnie, Bain i Maudsley, mówili to samo. Nakoniec, w ciągu tygodni ostatnich doczekaliśmy się specjalnego traktatu p. Al. Fonillée, poświęconego tej sprawie: posunąłbym się do przypuszczenia, że naukowy wydawca dzieł pośmiertnych Guyau'a znalazł w nich płodną w następstwa... sugestję.

Poglądy autora niezmierną wagę mają dla socjologii. W związku z teoriami: Tarde'a, Ward'a, Colajanniego, Fouillée'ego i de Greff'a mogą one posłużyć do obalenia t. zw. materyjalistycznej teorii dziejów; przedmiot ten jest niezwykle kuszący; to też, jeżeli kiedykolwiek będę miał sposobność rozbić prace wspomnianych wyżej socjologów, nie omieszkać zatrzymać się dłużej nad tą sprawą. Obecnie zaznaczę tylko, że uznanie pewnej wewnętrznej siły wyobrażenia (idei) prowadzi niechybnie do nadawania większej wagi naszym działaniom świadomym i wogóle naszej świadomości społecznej; jednocześnie zaś pogląd taki na ideję odsłania przed nami naukowe, jak najbardziej realne podstawy wiary w skuteczność owych działań. W oświetleniu tych danych naukowych historyczny „materyjalizm” Marksa przedstawia się jako jedna tylko połowa prawdy¹⁾, książka Fouillée'ego i praca Tarde'a jako jej część druga, zaś poglądy Warda i Colajanniego, jako synteza obu tych części.

J. K. Potocki.

KRONIKA PRZYRODNICZA.

Wpływ mrozów na zwierzęta menażeryi Instytutu w Paryżu.—Podobieństwo między małżonkami.—Podbudliwość kory mózgowej.—Nowe środki na suchoty.—Zakażenie błonicą przez powozy publiczne.

Surowa zima bieżącego roku sprawiła niemałe spustoszenia w ogrodzie zoologicznym w Paryżu, ale dała zarazem sposobność do ciekawych spostrzeżeń nad zdolnością rozmaitych zwierząt znoszenia niezwyklej dla nich temperatury. Sprawozdanie Milne-Edwards'a, złożone Akademii umiejętności, zwraca uwagę na szczególną zdolność niektórych przeżuujących przystosowaną się do klimatu Europy środkowej. Należą tu zwłaszcza gatunki antylop: *Antilopa cervicapra* z Indii, i Gnu (*Connochetes gnu*) z Afryki południowej; również jelenie: Sika z Japonii, *Cervulus Reevesii* z Chin połud-

niowych, i małe jelenie cejlońskie przetrwały bez żadnej szkody zimę, jakkolwiek nie miały innego przytułku, prócz nieopalanych chałup o cienkich ścianach, gdzie temperatura mało się różniła od zewnętrznej. Uczony zoolog, przypuszcza, że w lasach Francji zwierzęta te dałoby się zaklimatyzować i znalazł poparcie prezydenta Rzeczypospolitej, który polecił głównemu nadzorczy lasów w Saint-Germain i Marly porobić odpowiednie próby.

Mniej pomyślnie przynosiły wielkie mrozy zwierzęta gruboskóre. Ślonie, nosorożce i hipopotamy, jakkolwiek utrzymywane w ogrzewanym budynku (wprawdzie temperatura w nim często spadała do 2 — 3° C.), wszystkie przechorowały. Są to fakta przystosowania, o tyle przynajmniej wpływające na budowę anatomiczną, że niektóre z tych zwierząt, wychowane w ogrodzie zoologicznym, posiadają szersze gęstsza, niż w stanie natury.

Nie mniej godne uwagi są spostrzeżenia nad dobozem pomiędzy małżonkami uczynione przez H. Fola. Będąc w Nicei, ulubionem miejscu podróży poślubnych, zwrócił on uwagę na częste podobieństwo pomiędzy młodymi małżonkami. Zwykle przypisuje się podobieństwo takie wzajemnemu wpływowi ich (małżonków) na siebie przez długi przeciąg lat; lecz tu wpływ ten nie mógł wywrzeć skutków, gdyż wszystkie małżeństwa były świeżo zawarte.

Pobudziło to Fola do zbadania wielkiej ilości fotografii małżonków, nadesłanych mu przez kilku fotografów w Genewie. Po odrzuceniu tych, które podawały jakiegokolwiek powody do wątpliwości, zostało 251 par. Ażeby mieć miarę do porównania, autor brał fotografie braci i sióstr, posiadających przeciętny stopień podobieństwa, również i takie, w których podobieństwo było rażące. Przy porównaniu zwracano uwagę na pojedyncze rysy i stosunek ich do siebie, pomijając wyraz twarzy, który tu nie ma znaczenia. Z porównania tego wypadło, że na 198 młodych par w 54 było bardzo znaczne podobieństwo, w 78 średnie, w 66—bardzo nieznaczne lub nie było go wcale; na 53 starszych par okazało się: bardzo podobnych 13, średnio — 25, mało lub nic — 15. Łącząc pierwsze dwie gromady i, obliczając stosunek procentowy, znaleziono, że w młodych parach podobieństwo stanowiło 66,66%, w starszych 77,70%. Różnica więc jest bardzo nieznaczna. Gdyby małżeństwa zawierały się przypadkowo podobieństwo między małżonkami mogłoby się zdarzyć zaledwie w dwóch wypadkach na 100; nie można też przypisywać tak znacznego procentu podobnych do siebie małżonków zawieraniu ślubów pomiędzy kuzynami, gdyż ilość takich ślubów w Szwajcaryi nie przenosi 10 na 100. Autor wnioskuje ztąd, że podobieństwo pomiędzy małżonkami jest wynikiem wyboru, czyli że pary dobierają się nie podług zasady kontrastów, lecz według podobieństwa.

Przed dwudziestu laty czynność substancji korowej mózgu była prawie zupełnie nieznaną; przypuszczano na podstawie badań Flourens'a, że kora mózgowa jest organem inteligencji, ale nie udawało się w żaden sposób wykryć stosunku jej do ruchów dowolnych; odkrycie umiejscowień mózgowych, t. j. pewnych miejsc substancji tej, od podrażnienia których zależą ruchy określonych gromad mięśni, skierowanych ku pewnemu celowi, stanowi ważną epokę w historii fizjologii tego organu. Doświadczenia w tym kierunku odbywały się w ten sposób, że drażniono pewne ściśle oznaczone części kory mózgowej za pomocą prądu elektrycznego; wywołane przez to ruchy służyły za wskazówkę czynności odpowiednich części. Jednak metoda ta nie mogła wykazać, czy i jakie części kory mają udział w przyjmowaniu wrażeń; tymczasem badania nad zwierzętami, którym wycinano pewne części kory, wykazały, że znajdują się w niej nietylko ośrodki ruchowych, ale i czuciowych nerwów. Fizjologija posiada bardzo delikatny sposób poznania, czy nerw jest czynny lub nie, polega ten sposób na mierzeniu, za pomocą galwanometru, zmian siły elektromotorycznej nerwu, zachodzących zawsze podczas jego czynności fizycznej.

Wszelkie jednak próby dotychczasowe zastosowania tej metody do substancji szarej mózgu były niepomyślne.

Udało się to wreszcie p. Beekowi z Krakowa, który stosował przewodniki niepolaryzu-

jące się (glina, przesiąknięta 6%-owym roztworem soli), do mózgu w ten sposób, aby uniknąć wszelkich uszkodzeń tkanki. Zmiany, zachodzące w położeniu igły galwanometru, wykazywały udział odpowiedniego miejsca w czynności; tak, działając światłem magnetyjalem na jedno oko, mógł Beek stwierdzić położenie ośrodka wzrokowego, odkrytego przez Munka w zrazie potylicowym; w ten sam sposób udało mu się stwierdzić umiejscowienia ośrodków ruchomych dawno już znanych. Fleischl złożył akademii umiejętności w Wiedniu w roku 1883 papier zapieczetowany, o rozpieczętowanie którego prosił po publikacji Becka; pokazało się przytem, że doświadczenia podobne były przezeń dokonane już w r. 1883. Działanie chloroformu i eteru znosi czynność tych części mózgu; podrażnienie nerwów czuciowych przytłumia ją. Boeck i Verhoogen w Brukseli robili próby w tym samym kierunku, posługując się metodą, podaną przez Schiffa jeszcze w r. 1869, t. j. obserwacją nad podwyższeniem temperatury, zachodzącą podczas odpowiednich czynności mózgu. Stwierdzili oni, że pod wpływem morfiny temperatura kory mózgowej obniża się w stosunku do temperatury węzłów środkowych, również wykazali zmiany temperatury pojedynczych części kory pod wpływem podrażnień rozmaitych organów; nie badali jednak bliżej zależności tych zmian od umiejscowień mózgowych.

Po zupełnem upadku tak przedwcześnie i tak głośno reklamowanej metody Kocha, coraz większego znaczenia nabierają sumiennie i bez żadnej tajemniczości prowadzone badania na chorych gruźliczych Hericourt'a i Richeta. Badania te, prowadzone przez d-ra Ronimann'a już od dwóch lat na zwierzętach, wspierają się na tem, że niektóre z istot żyjących są z natury niewrażliwe na tę chorobę. Oporność jest wynikiem własności krwi tych zwierząt, działającej zabójczo na zarazki gruźlicy. Otóż wstrzykując krew takich zwierząt innym, z natury nieopornym, można te ostatnie zabezpieczyć od zakażenia. Teraz, po szeregu badań poprzednich, które wykazały, że wstrzykiwania surowicy krwi kozy i psa (zwierząt opornych na gruźlicę) nie szkodzią bynajmniej ludziom, badacze wymienieni, oraz profesorowie Lefine w Lyonie, Langlois i Saint-Hilaire w Paryżu rozpoczęli próby nad choremi na gruźlicę. Sprawozdania z tych prób, poczynione na posiedzeniach Towarzystwa biologicznego 17 i 24 stycznia b. r., wykazują, że metoda ta posiada lepsze widoki powodzenia, niż berlińska. W wielu wypadkach spostrzeżono znaczne polepszenie, w żadnym zaś wstrzykiwania nie miały następstw nieprzyjaznych dla chorego. Próby są zbyt niedawno rozpoczęte (pierwsze wstrzyknięcie zrobione było 6-go grudnia przeszłego roku) aby można było podać jakies wnioski stanowcze, ale wyniki zachęcają do dalszych badań w tym kierunku. Naturalnie zastosowanie tej metody wymaga wielkiej ostrożności i starannej sterylizacji surowicy krwi. Ilość wstrzykiwanej surowicy nie przewyższa 1 cm. sześcienny.

W sprawozdaniu, złożonem komitetowi higieny publicznej we Francji, Grancher zwrócił uwagę na znaczny udział dorożek i omnibusów w szerzeniu błonicy. Zebrane przez Peyrona liczby wykazują, że w ciągu trzech kwartałów 1890 r. do samego tylko szpitala Trousseau przywieziono 797 dzieci, chorych na błonicę, z których 375 w dorożkach i 65 w omnibusach. Wobec znanej trwałości zarazków błonniczych i łatwości, z jaką się czepiają wszelkich przedmiotów, otaczających chorego, powozy publiczne stają się straszliwym roznosicielem zarazy. Znane są fakta podobnego zakażenia przez powozy. Tak p. Colin podczas niewielkiej epidemii błonicy w garnizonie paryżkim wykazał, że wszyscy chorzy podoficerowie należeli do tych, którzy jeździli omnibusami, kursującymi pomiędzy Gras-Caillou i Vincennes t. j. temi, które wożą najczęściej dzieci chore na błonicę do Sevres i St. Antaine. Autor sprawozdania proponuje, ażeby przy wejściu do każdego szpitala znajdował się agent policyjny, któryby odsyłał do zakładu dezynfekcyjnego każdy powóz, przywozący chorych na błonicę.

Środek ten jest potrzebny, zwłaszcza wobec niechęci do dezynfekcji i przerażającego niedbalstwa o własne bezpieczeństwo nawet za-

¹⁾ Upowszechnionem jest wśród pewnych sfer mniemanie, że materyjalistyczna teoria Marksa stanowi już właśnie pożądaną tutaj syntezę czynników duchowych i materyjalnych społecznego rozwoju. Wyznawcy tego przekonania nie wiedzą jednak, że Marksowi stan psychologii i socjologii ówczesnej absolutnie nie pozwalał syntezę takiej dokonać.

możnych rodzin, jakiego przykłady przytoczone są w sprawozdaniu.

W. K.

GŁOSY.

List Sygietyńskiego. — P. Prószyński w kłopotcie. — Podrzucony szlachcic. — Z tygodnia.

— Zamieszczając w numerze 8 list p. Biskupskiego, nie wątpiliśmy na chwilę, że musiały być jakieś nieznanne nam powody, nie pozwalające Dygasińskiemu spełnić należycie obowiązku korespondenta. Nie zmieniliśmy wcale zbyt ostrego tonu listu, bo chodziło nam o wywołanie odpowiedzi i wyjaśnienie sprawy. Dygasińskiego niema obecnie w Warszawie, ale jeden z najbliższych jego przyjaciół przysłał nam list, który zamieszczamy poniżej.

„Zanim Dygasiński, w tej chwili nieobecny w Warszawie, czy też ktokolwiek inny odpowie na zarzut p. Stanisława Biskupskiego, który na podstawie kłamliwych wieści twierdzi w ostatnim numerze *Głosu*, jakoby „redakcja *Kuryjera warszawskiego* dała Dygasińskiemu 4,000 na podróż do Brazylii”, pośpieszam donieść, iż Dygasiński *zopatrzonej* został w 650 rubli, wyraźnie sześćset pięćdziesiąt, które musiały mu wystarczyć na całą *misję*, doskonale wymyśloną a jeszcze lepiej wyzyskaną przez *Kuryjer warszawski*.

Być może, iż „*Kuryjer warszawski* spełnił swój obowiązek nawet ponad możność”; lepiej jednak by było dla tegoż *Kuryjera warszawskiego*, aby nietylko p. Biskupski, ale nikt wogóle, nie pytał Dygasińskiego ani publicznie, ani prywatnie, czy on swój obowiązek korespondenta również sumiennie spełnił.”

Za 650 rubli, wyraźnie sześćset pięćdziesiąt, można było tylko przejechać się z Bremy do Desterro via Rio-Janeiro i napowrót — i Dygasiński przejechał się. Co widział i ile tylko mógł był widzieć w tych warunkach — w *Kuryjerze* sumiennie podał. Nie jego jednak wina, iż *Kuryjer warszawski* przecenia swoje obywatelskie zasługi w wydętych reklamach, wystawiając przytem na sztych człowieka, który więcej jeszcze zrobił, niż był mógł.

Przy tej sposobności łączę wyrazy szacunku.

Antoni Sygietyński.”

Wyjaśnienie, jakie daje przyjaciel autora, rzuca zupełnie inne światło na całą sprawę, do której powrócimy jeszcze w najbliższym numerze.

* * *

— (p) P. K. Prószyński, zaatakowany z kilku stron (najdotkliwiej przez *Rolę*), że podał lekkomyślnie wiadomość o rozmowie z mniemanym agentem brazylijskim, a jak niektórzy twierdzą całą tę historję wymyślił — zamieścił obecnie w *Kuryjerze warszawskim* list, w którym zaznacza, że relacja, wydrukowana w *Kuryjerze* była tylko „jaskrawem streszczeniem i wolnym przekładem” artykułu *Gazety świętecznej*. Nie przypuszczał p. Prószyński, że „ktokolwiekby, kogo ta sprawa może obchodzić, nie zajrzy do źródła wiadomości, lecz, poprzestając na owym wolnym przekładzie, pozwoli sobie przewrotne insynuacje wygłaszać.”

Tymczasem „znalazł się ktoś, znany z resztą z intrygowania „przeciw p. Prószyńskiemu (tym ktosiem ma być redaktor *Roli*)”, kto nie omieszkał w swym tygodniku rzeczy po swojemu przekreślić.”

P. Prószyński broni swego postępowania, twierdzi, że nie mógł agenta przytrzymać, bo gdyby to uczynił, to „gdzieś byłby dowód, gdzie świadkowie propozycji”; daje wreszcie do zrozumienia, że „agent był w danym razie zopatrzonej zapewne w legitymacyję i argumenty... dostateczne do wytłomaczenia się i narzucenia piwka.”

O tem fantastycznym przypuszczeniu nie możemy mówić, gdyż nie rozumiemy dobrze, co przytoczony frazes ma oznaczać. Ale bajanie o świadkach, jakoby koniecznych dla stwier-

dzenia czynu występnego, a jak w danym wypadku — dla rozpoczęcia śledztwa, uchodziłaby w ustach kumoszki, nie zaś w ustach człowieka inteligentnego i prawnika.

O „wolnym przekładzie” i „jaskrawem streszczeniu” przez *Kuryjer* własnej relacji p. Prószyńskiego nie należało również wspominać. Porównywalimy oba artykuły: są one w szczegółach nawet zupełnie zgodne. P. Prószyński w liście pisze, że „indywiduum, będące wido- cznie agentem, nie uczynił żadnej wzmianki o jakiejbykolwiek określonej sumie pieniężnej”, a tymczasem w 528 numerze *Gazety* sam opowiada:

„Pytał: ile tysięcy gazety się rozchodzi, ile jeden egzemplarz na rok kosztuje, a wreszcie oświadcza, że on będzie dużo, dużo potrzebował i że jak najrzetelniej za cały rok połowę z góry zapłaci i żadnego ustępstwa z ceny nie żąda, a na drugą połowę da przekaz do banku, platny przed przyszłym Nowym Rokiem.”

— Ile egzemplarzy pan zamierza zamówić — pytamy.

— Tak... z pięć tysięcy „odpowiada.”

Nie potrzeba chyba dokładniej określać sumy, bo w jednej chwili obliczyć można, ile agent dawał. To też sam p. Prószyński dodaje dalej:

„Toć, licząc tylko po cenie warszawskiej — 5 tysięcy egzemplarzy rocznych będzie kosztowało aż dziesięć tysięcy rubli, a gdyby z przesyłką pocztową, toby wyniosło z piętnaście tysięcy.”

Palnąwszy baka, p. Prószyński obecnie chce jakoś błąd swój naprawić, ale używa środków, co najmniej niewłaściwych, co pogarsza jeszcze jego sprawę. Niezręczne wykrety, bo inaczej manewrów tych nazwać niemożna, tembardziej utwierdzają publiczność w przekonaniu, że cała opowieść została wymyśloną. P. Prószyński, jak się zdaje, padł ofiarą mistyfikacji; źle zrobił, że pozwolił bezkarnie zażartować z siebie — gorzej jeszcze, że lekkomyślnie podając nieprawdopodobną wiadomość, naraził się na to, że go posadzają o kłamstwo — najgorzej czyni, broniąc publicznie w niewłaściwy sposób swej sprawy, kiedy najlepiej byłoby dlań, gdyby o tym wypadku jak najprędzej zapomniano.

* * *

— (x) W ostatniej „Kronice tygodniowej” Prus opowiada „nadzwyczajny wypadek”: dorosły szlachcic podrzucony został w czworniku na miejsce parobka. Pewnej nocy zasnął u siebie we dworze, a na drugi dzień obudził się na wiązce grochowin. Pomimo zachowania władz umysłowych zapomniał biedak nazwiska własnego i dóbr swoich; pamięta tylko, że przed fatalnem zaśnięciem rozmawiał z sąsiadami o nieszczęsnem położeniu szlachty i w złą chwilę wymówił:

— Ja, panie dobrodzieju, z największą chęcią pomieniałbym się na los parobka. Szlachcic ów pisze taką odezwę:

„Na miłość Boską zaklinam wszystkich proboszczów, wójtów gmin, sołtysów i strażników, ażeby we wsiach, podlegających ich jurysdykcji, dowiedzieli się: czy w której nie zginął szlachcic? Znalazszy zaś taką miejscowość, ażeby mnie o niej natychmiast zawiadomili, bo czuję, że w nowem położeniu mojem nie wytrzymam miesiąca.

Odwiedzałem kiedyś stangreta, który, upiwszy się, spalił oborę i poszedł do więzienia. Jeżeli więc nie zostaną znalezione i przywrócone do mojej dawnej kondycji, z pewnością dopuszczę się jakiego występku, ażeby bodaj iść do kopalni, byle nie być parobkiem.

Przecież kryminał — to eldorado. Ma człowiek ciepłą i czystą izbę, pościel, odzież, bieliznę i urozmaicone jadlo, ani pracując, ani narażając się na to, żeby zmarł w polu, żeby go wilcy zjedli, albo przytknęło ścinane drzewo. Na te zaś przywycyje i niebezpieczeństwa ciągle narażam się, jako parobek i — co za to mam? Sześć korcy żyta, dwa grochu, dwa jęczmienia i sześć korcy ziemniaków na cały rok, a wszystko w najgorszym gatunku.

Każdy rozumie, że człowiek ciężko pracujący powinien mieć codziennie ze dwa funty chleba i pół funta mięsa. Tymczasem ja z owych sześciu korcy żyta mam wprawdzie cztery funty chleba dziennie, lecz dzielić się nim muszę z żoną i trojgiem dzieci. Więc nawet chleba nam nie starczy, a mięsa — nigdy nie widzimy, bo go niema za co kupić. Te zaś 20 rubli rocznych zasług, jakie otrzymuję, rozchodzą się na obuwie i szmaty, z których wnet robią się łachmany.

A niechże teraz zobaczy kto izbę, gdzie mieszkamy: wilgotna, brudna, zimna i jeszcze niema w niej na czem jadła ugotować!... A niech kto litościwy spoj-

rzy na tę słomę i grochowiny, które nam służą za pościel!..

Piszą nam, że w Brazylii jest źle. Boże miłosierny, chyba nie jest gorzej, jak w czworniku! Przecie w Brazylii niema mrozów, a choć człowiek mrze z głodu, to przynajmniej nie pracuje na cudze dostatki.

Serce mi się ścisza, kiedy patrzę na nieszczęśliwe dzieci, które niby to są moimi. Brudne, obdarte, miszerne i skazane na wieczną głupotę. Prawda, że parobek nie potrzebuje mieć rozumu, bo inaczej nie chciałby być parobkiem!..

A co się człowiekowi nawymyślają od próżniaków, co naposadzają o złodziejstwo i pijaństwo?... Jakże zaś nie pić, kiedy jest to jedyny sposób zapomnienia o nędzy?

Nie, nie chcę być parobkiem, wolę zostać kryminalistą, albo brazylijczykiem! Wszystkich zaś ludzi miłosiernych błagam, aby co prędzej odnaleźli mój folwark i błagali żonę o wykupienie mnie z tej ziemi egipskiej i domu niewoli!..

Oczywiście, dodaje Prus, autor listu musi być zdenerwowany zmianą położenia, bo przecie „tyle razy słyszeliśmy i czytaliśmy o doskonałym położeniu służby dworskiej. Spodziewać się jednak trzeba, że szlachcic odzyska spokój: „będzie miał przecie byt zapewniony, żadnego kłopotu, ruch na świeżem powietrzu, zdrowy choć prosty posiłek, a nadewszystko to błogie uczucie braku wyższych potrzeb, do czego prędko nawyknie.”

* * *

— Sąd w sprawie zabójstwa Wisnowskiej przez Barteniewa nie zbyt wiele szczegółów dodał do tego dramatu. Odgłos prawdziwego bólu i cierpienia tak słabo przebiegały się tutaj poprzez orgiję hulaszczego życia bachantki, tak się mieszały z brzękiem talerzy, kielszków, z wrzawą życiowego targowiska próżności i samolubnych dążeń karyjerowiczowstwa, że publiczność nie mogła ani płakać, ani gardzić. Ale ekspertyza sądowna, szukając prawdy, odsłoniła brzydkie strony nietylko schorowanej, lecz i „zdrowej” części społeczeństwa. Przed kratki sądu przyszła też, wraz z innemi, w osobie pana Fryzego i paru młodszych literatów, tak zwana: „godność prasy”, a rozbrawszy się skwapliwie z emblematów swoich, stanęła przed sędziami i publicznością w brzydkim neglizju. „Zdarzało się nieraz, opowiedziała Godność, że za stołem Wisnowskiej siedzieli nas czterech lub pięciu. Wtem rozlegał się dzwonek: wszyscyśmy na chwilę mówić przestawali, dopóki owego nieproszonego gościa nie odprawiła młodszka, niezmiernie sprytna dziewczyna.” Lokaj państwa X., uczujący pokryjomu u kucharki państwa Y., nie inaczejby się przechwalał. Ta zależność przedstawicieli opinii od „niezmiernie sprytnej” subretki ztąd pochodziła, że Wisnowska partyję swych zwolenników „dzieliła na kategoryje i każdą zapraszała do siebie kolejno.” To znaczy: nakarmiwszy i napoiwszy jedną kupę niebezpiecznych przyjaciół, wołała na poczęstunek drugą.

Wielokrotnie utyskiwano na wyzysk naszej „burżuazyj”, na jej nieludzkie obchodzenie się z pracownikami. Tydzień ubiegły przekonał nas jednak, że my burżuazyi nawet nie mamy: istnieje tu tylko burżuazyjka, która, co najwyżej, praktykować może wyzyszczek, ale i ten w granicach, prawem lilipuciem przepisanym. W Hiszpanii powstała w tych dniach Rzeczpospolita Albox — trwająca kilka godzin. Niezadowoleni z wyborów miejskich konserwatyści, w liczbie kilkudziesięciu, opanowali ratusz i ogłosili swą niezależność. Rząd prowincyi uznał za stosowne wysłać tam kilkunastu żandarmów, co zupełnie wystarczyło do poskromienia rokoszu. Podobne bunty urządza też nasza burżuazyjka. Słyszac, że burżuazyja europejska, zarówno u nas jak i za granicą, prowadzi wielkie przedsiębiorstwa, buduje mosty olbrzymie, drogi żelazne i t. p., zapragnęła też i ona stworzyć u siebie coś wiekopomnego. Na razie postanowiono ufundować linię kolei Warszawa—Wilanów, okazało się, że oprócz czterech złotych i groszy piętnastu, niezbędnych na serdelki i wódkę do zapięcia tej sprawy, potrzeba jeszcze było z 50,000 rubli na samo przedsiębiorstwo. Podpisano się chętnie na tę sumę, ale teraz, po odbyciu już wszelkich potrzebnych i niepotrzebnych posiedzeń wstępnych, pieniędzy tych jeszcze niema. Niechże tylko burżuazyja eu-

ropejska, albo tutejsza, że tak powiem, przyszywana burżuazja przyszłe kilkunastu agentów swych, coby sprawę wzięli w opiekę, a natychmiast nasza kolejowa rzeczpospolita Albox—Wilanów pochowa się w mysie nory i utyskiwać będzie na wszechwładną gospodarkę obcych.

Burżuazja wielka — przyszywana — rządzi się inaczej: Kolej nadwiślańska może być przykładem nietylko przedsiębiorczości jej, ale i umiejętnej wyzyskiwania ludzkiej, a właściwie nieludzkiej chyba głupoty. *Kuryjer codzienny*, zaznaczywszy dla pamięci czyni już dokonane przez ową oszczędną drogę, podaje teraz fakt nowy: podróż pana Hantowera—sub-dygnitarza tejże kolei. Na stacji Konońnica zatrzymano przez 72 minuty pociąg, idący z Lublina, jedynie dlatego, aby przypuścić *extra-cug* z p. Hantowerem. Zwłoka ta, przyprowadzając kilkuset ludzi o stratę czasu, spowodowała później wpadnięcie pociągu na jakieś wagony czy platformy, ustawione nie w porę, i o mało nie stała się przyczyną gorszych wypadków; ale — powiada *Kuryjer*—ale pan Hantower pojechał. Zasługuje on na surowe potępienie opinii, chyba, że... przy pomocy „niezmiernie sprytnej dziewczyny” urządził podwieczorek dla jej przedstawicieli.

Z OBCEGO ŚWIATA.

Rozprawy w parlamencie niemieckim nad ustawą przemysłową.—Święcenie niedzieli i republikańska wolność sumienia. — Odpoczynek 24 czy też 36-godzinny.—Praca świąteczna w zakładach handlowych.

Pamiętają jeszcze zapewne czytelnicy, jakie silne wrażenie wywołały przed rokiem słynne reskrypty cesarza Wilhelma i międzynarodowa konferencja w Berlinie. Pamiętają też zapewne, że wybujałe nadzieje zostały niebawem zawiedzione. „Nowella do ustawy przemysłowej”, wniesiona w maju r. z. do parlamentu niemieckiego, nie przekraczała wcale granic, przyjętych przez prawodawstwo innych krajów, nieraz niedorównywała im nawet. Co więcej, jeżeli wogóle miała na celu polepszenie losu robotników, to z drugiej strony i niektóre interesy kapitalistów znajdowały w niej skuteczniejszą niż dotąd obronę. Jakkolwiekby jednak zamierzona przez rząd reforma dotykała całokształtu niemal stosunków robotniczych. Stosownie do zwyczajów parlamentarnych, po pierwszym odczytaniu nowa ustawa odesłana została do komisji, tam uległa pewnym zmianom i obecnie w tej zmienionej już formie jest przedmiotem obrad parlamentu.

W komisji projekt rządowy różne przechodził koleje. Z początku przeważała tendencja rozwojowa, wiele przepisów uzupełniono i rozszerzono. Niebawem jednak wziął górę prąd inny i komisja w większości wypadków powróciła do norm, przez rząd zaprojektowanych. Ostateczny projekt komisji jest kompromisem, zawartym przez rozmaite stronnictwa, z widoczną przewagą jednak centrum, jako najliczniejszego. Sprawozdawcą komisji i obrońcą jej wobec parlamentu jest jeden z najwybitniejszych członków centrum—Hitze. Rozprawy w parlamencie toczą się bardzo powoli, w drugim czytaniu bowiem stronnictwa nie zaznaczają swego ogólnego stanowiska wobec projektu, lecz poddają szczegółowej i drobiazgowej krytyce każdy jego paragraf. Drugie czytanie jest dla każdego nowego prawa chwilą najważniejszą, wtedy to bowiem odbywa się istotne formowanie prawa, tworzenie tych norm, które niebawem regulować mają stosunki. Jest to też najdogodniejsza chwila dla poznania prawdziwych dążeń stronnictw poszczególnych, jeżeli tylko zadamy sobie pracę wniknięcia w suche i nużące rozprawy o szczegółach.

Parlament zdążył dotąd rozpatrzyć zaledwie kilka paragrafów, przepisujących odpoczynek w niedziele i święta, i tu już jednak można było zrobić kilka pouczających uwag. Nasuwa się przede wszystkim porównanie z niedawnymi obradami w tej samej kwestyi izby francuskiej. W tej ostatniej spierano się bardzo długo o to, czy dniem tygodniowego odpoczynku ma być obowiązkowo niedziela, czy też nie. Minister Roche oświadczył zaraz na początku, iż rzeczpospolita nie może ze względu na

„wolność sumienia” oznaczać dnia odpoczynku i musi pozostawić to „regulaminowi fabrycznemu”. Cóż to jest regulamin? Jest to niby wolna umowa między fabrykantem a robotnikami, właściwie jednak jest to kodeks, przez fabrykanta ułożony, kodeks, któremu robotnik poddać się musi, jeżeli chce znaleźć robotę w fabryce. Rzeczpospolita francuska okazuje wielką dbałość o „wolność sumienia” panów fabrykantów. Pozwala ona bojownikowi bezwzględności, jeżeli jest kapitalistą, wykażać swą pogardę dla „jadowitej sieci klerykalizmu” przez zmuszanie robotników swych do pracy w niedzielę, kiedy cały świat odpoczywa i bawi się. Również łaskawą jest rzeczpospolita dla kapitalistów wyznań nie-chrześcijańskich. Prawowierny żyd fabrykant będzie mógł odstać spokojnie modlić się co sobota w synagodze, wolny od troski, że nieobecność jego w fabryce uszczuplić mu może dochodu. Takie faworyzowanie fabrykantów w prawie *robotniczym* nie powinno nikogo oburzać, ponieważ wszystko to robi się ostatecznie dla „duchowego” dobra samych robotników¹⁾, a kto temu nie wierzy, niech przeczyta artykuły p. Winiarskiego w *Prawdzie*, a przekona się nieochybnie.

W parlamencie niemieckim klasa robotnicza nie znalazła, niestety, prawdziwego „obrońcy” swych interesów, i nikt, absolutnie nikt, nawet socjaliści nie powstali przeciwko święceniu niedzieli?

Jeżeli teraz przyjrzymy się bliżej rozprawom, to uderzy nas przedewszystkiem, że projekt komisji, jako rezultat kompromisu, znajduje poparcie całego parlamentu. Z poprawkami występuje tylko część wolnomyślnych, oraz członkowie *Volkspartei* i socjaliści. Żądania tych ostatnich sięgają najdalej, liczą się jednak także z warunkami rzeczywistości i nie przekraczają granic, przyjętych przez prawodawstwo innych krajów. Na początku zaraz dyskusji powstała kwestya, jak długo trwać ma odpoczynek niedzielny lub świąteczny. Komisja, zgodnie z projektem rządowym, wniosła, iż trwać ma on 24 godziny, w razie 2 świąt po sobie następujących 36 godzin, i tylko w dniu Bożego Narodzenia, Wiekiejnocy i Zielonych Świątek — 48 godzin. Stronnictwo ludowe, popierane przez wolnomyślnych, stawia żądanie, żeby odpoczynek niedzielny trwał niemniej, jak 30 godzin. Socjaliści żądają 36 godzin, dla 2 świąt zaś—60.

Mówcy opozycyjni wykazują, że projekt komisji, jakkolwiek stanowi postępek wobec przepisów dzisiejszych, nie daje jednak robotnikom całego dnia wolnego od zajęć. Wielu z nich będzie musiało o 6 po południu w niedzielę wracać już do roboty, inni znowu zaledwo o 6 zrana w niedzielę porzucą fabrykę i znaczną część dnia świątecznego będą zmuszeni przespać. Z tych właśnie powodów żądali oni 30 (wzgl. 36) godzin odpoczynku, socjaliści zaś stawili zadanie, żeby roboty kończyły się w sobotę koniecznie o g. 6. Obrońcy projektu dowodzili, że interesy przemysłu niemieckiego nie pozwalają na dłuższy odpoczynek niedzielny, że wreszcie zachodziłoby duża obawa, iż płace zarobne ulegną zbyt wielkiemu obniżeniu. Względem ostatni nie wytrzymuje krytyki; statystyka wykazuje niezbitnie, że płaca zarobna nie stoi w żadnym związku z długością pracy, że przeciwnie—najczęściej wyższą jest w zawodach o krótkim dniu roboczym. Co zaś do pierwszego względu, jest on również dość wątpliwym, w każdym razie żądanie 36 godzin zamiast 24 nie jest wcale chimerycznym, w Anglii bowiem od dawien-dawna dzień roboczy w sobotę kończy się wcześniej, niż w dnie inne. Izba przyjęła projekt komisji bez zmiany.

Ożywione rozprawy toczyły się nad paragrafem, regulującym odpoczynek świąteczny w zakładach handlowych. Według projektu komisji w niedziele i święta praca w takich zakładach nie może przechodzić 5 godzin, które powinny być przytem tak wybrane, izby dowołały zainteresowanym uczęszczania do kościołów w czasie nabożeństwa. Tylko 3 dnie (Boże Narodzenie, Wielkanoc i Zielone Świątki) mają być zupełnie wolne od zajęć. Władze miejscowe otrzymują przytem prawo dalszego skracania pracy w święta.

¹⁾ Zdanie inspekcji fabrycznej w tej kwestyi przytoczyliśmy w *Przepl. pol.* w N. 7.

Kwestya odpoczynku świątecznego w zakładach handlowych nie wywołuje takich sporów, jak inne kwestyje tego rodzaju. Interesy przedsiębiorców i robotników nie wchodzą tu w kolizyję. Właściciele handlowi nie mogą mieć nic przeciw odpoczynkowi niedzielnemu, byleby tylko byli pewni, że wszystkie handle zamknięte będą.

Natomiast pozostaje trudność innego rodzaju. W miasteczkach prowincjonalnych wiejscy kundmani załatwiają sprawunki zwykle w święta, należy więc interesy ich uwzględnić. Komisja sądzi, że jako reguła ogólna nie można postawić większego ograniczenia nad 5 godzin, dalsze skracanie pozostawiając władzom miejscowym. Obrońcy projektu z wielką przyjemnością zaznaczają, że idzie on dalej niż projekt socjalistów z r. 1885, który stawił również 5 godzin, ale nie robiąc wyjątku dla 3 świąt głównych. Bebel odpowiedział na to, że socjaliści nie są marzycielami, liczą się z warunkami i w r. 1885 stawiali żądania skromne w nadziei pozyskania większości. Dziś uważają swój projekt dawniejszy za niedostateczny i wnoszą ograniczenie pracy w święta do 3 godzin, nie może on przytem trwać dłużej, jak do 12, a to dlatego, żeby subjekci handlowi mogli mieć chociaż połowę dnia do swego rozporządzenia. Komisja proponuje jednocześnie, żeby w ciągu 4 niedziel przed Bożem Narodzeniem, oraz w niektóre inne święta, stosownie do warunków miejscowych, zajęcia w biurach handlowych i sklepach trwały dłużej, nie przekraczające jednak 10 godzin. Socjaliści wnoszą, żeby w takich razach praca kończyła się najpóźniej o 6-jej.

Głównym mówcą podczas tych rozpraw był Bebel. Przedstawił on w żywych kolorach położenie subjektów i robotników handlowych, zwłaszcza w protestanckich Niemczech, gdzie niedziela nie jest święconą z pobudek religijnych. Szczególniej okropnem jest położenie dzieci, których jest coraz więcej w tym zawodzie. W Würtzburgu np. na 1 subiekta przypada 5 — 6 chłopców, pracujących najczęściej bez wynagrodzenia po 15—18 godzin dziennie w atmosferze niezdrowej, pozbawionej światła.

„Gdyby rząd, wołał Bebel, zwrócił uwagę na subjektów handlowych i chłopców, przekonaliśmy się, jak konieczną jest opieka nad ich pracą nietylko w święta, ale i w dnie powszednie.” Głos Bebla nie był głosem wołającego na puszczy; wśród konserwatystów poparł go Klest-Netzow, który żądał nawet, żeby praca w zakładach handlowych kończyła się w niedzielę o 10.

Z energiczną obroną subjektów wystąpił też deputowany Hirsch (wolnomyślny). Utrzymywał on, że położenie subjektów jest daleko gorsze, niż położenie robotników fabrycznych, i że należy im bezwarunkowo pośpieszyć z pomocą. Zwracał on uwagę na ten nienormalny, zdaniem jego, objaw, że młodzież, pracująca w zawodzie handlowym, przeszła w ostatnich czasach na stronę socjalistów. „Jak głębokie panować musi wśród nich niezadowolenie, jeżeli zwracają się oni ku tym, którzy chcą zupełnie znieść handel”. Pod wpływem tych pobudek Hirsch żąda również ograniczenia pracy świątecznej do 3 godzin.

Nietylko jednak przedstawiciele rozmaitych stronnictw popierali Bebla; nawet minister handlu Berlepsch odezwał się teraz słowy: „P. Bebel zwraca zupełnie słusznie uwagę na nadużycia, których ofiarą są subjekci i uczniowie w handlu,—nie ma on jednak prawa wyciągać ztąd wniosku, że rząd pozostaje na to obojętny”. Przeciwnie, rząd zajęty jest obecnie zbadaniem tej kwestyi, poczem wystąpi z odpowiednim projektem. Zanim to jednak nastąpi, należy pośpieszyć i paragraf o odpoczynku niedzielnym w zakładach handlowych wciągnąć do ogólnej ustawy przemysłowej. W samym Berlinie nowe prawo stosować się będzie do 37 tysięcy ludzi.

Pewną dysharmoniją w obradach był wniosek grupy deputowanych katolickich, wolnomyślnych i konserwatywnych, żądających, izby nawet w trzy uprzywilejowane święta sklepy otwarte były w ciągu 2 godzin. Wniosek swój uzasadniali oni tem, że zarobki robotników wypłacają się przed świętami nieraz bardzo późno, tak że nie mogą oni ułatwić w ten dzień swych sprawunków. Jakkolwiek szczerymi być mogły zamiary wnioskodawców,

wobec jednak ogólnej niechęci zawstydzili się oni i wniosek swój wycofali.

Ostatecznie jednak izba zatrzymała się przy wniosku komisji, odrzucając wszelkie idące dalej poprawki. Na usprawiedliwienie jednak tego przypomnieć musimy, że władze miejscowe będą miały prawo wprowadzenia dalszych ograniczeń.

Już z przytoczonych przykładów wnosić możemy, w jakim duchu toczą się rozprawy i jakie jest stanowisko stronnictw poszczególnych. Dla uzupełnienia jednak charakterystyki wspomniemy jeszcze, że odpoczynek niedzielny nie będzie absolutny, że, nie mówiąc już o wypadkach nagłego niebezpieczeństwa i t. d., w niedziele i święta dozwolone być mają te roboty, które nie mogły być wykonane poprzednio, a są niezbędne dlatego, żeby w poniedziałek pracować można było przez dzień cały (jak np. oczyszczenie maszyn). I w tej kwestyi nie było zasadniczego sporu między stronnictwami; drobne nieporozumienie wynikało tylko co do rozmiaru odszkodowania, jeżeli można się tak wyrazić, robotników za utracony czas odpoczynku. Komisja proponowała, że robotnicy, którzy dla uskutecznienia wskazanych powyżej robót zajęcia będą więcej niż 3 godziny, będą korzyścili co trzecią niedzielę z 36 godzinnego odpoczynku, lub co drugą będą wolni przynajmniej od 6 zrana do 6 wieczorem.

Auer (soc.-dem.) bardzo słusznie zwrócił uwagę, iż przedsiębiorcy będą zawsze wybierali normę dla siebie dogodniejszą, a więc zawsze udzielać będą robotnikom powyższej kategorii 12 godzin odpoczynku co drugą niedzielę. Stanowić to będzie znaczne pogorszenie ich losu względnie do reszty kolegów. Wskutek tego proponował on, żeby odpoczynek, udzielany co drugą niedzielę, trwał 24 godziny. Izba poprawkę Auera odrzuciła, przyjmując natomiast wniosek Aibichlera (z centrum), domagający się tego samego odszkodowania dla tych także wypadków, w których robota nie trwa wprawdzie 3 godzin, ale czas jej tak jest obrany, że przeszkadza być na nabożeństwie.

Z rozpraw dotychczasowych wnosić można z wielkim prawdopodobieństwem, że rządowy projekt ustaw przyjęty będzie bez zmian zasadniczych. Zajdą one może w działaniu, poświęconym odpowiedzialności za złamanie kontraktu, gdyż opinia publiczna uznaje, że dział ten jest dla robotników za surowy. Jest to ten właśnie dział, z powodu którego Auer i jego koledzy mają zamiar głosować przeciw całej ustawie.

J. H. Siemieniecki.

Przegląd społeczny.

Z nad Pilicy. (Kor. „Głosu”). Czarna kronika z roku ubiegłego i bieżącego notuje kilka wypadków zbrodni, dokonanych w pobliskiej okolicy. Przytaczam z wypadków te, które mi tkwią w pamięci. Na polach majątku Udorz w roku zeszłym znaleziono ciało człowieka z oznakami gwałtownej śmierci—w parę miesięcy później na tychże polach znaleziono drugą z podobnymi oznakami ofiarę; na ślad zabójców w obu wypadkach nie natrafiono. We wsi Koryczanach jeden z gospodarzy zastrzelony został w własnym domu przez okno w czasie spożywania wieszki; zabójcy nie wykryto. We wsi Kleszczowie w r. b. otruto dwunastoletniego chłopca; we wsi Woli Libertowskiej zmarł również z przyczyny otrucia miejscowy gospodarz; podejrzanych o zbrodnię w obu wypadkach aresztowano. W Wolbromiu, podczas kłótni dwóch włościan o pieniądze, jeden drugiego przyprawił o śmierć silnym uderzeniem pięści; we wsi Wierzbie, w sporzede włościan o miedzę, jeden z nich zadał drugiemu cios śmiertelny kosą. Wreszcie we wsi Dąbrowicy sprawdzono na jednym z miejscowych włościan wypadek śmierci przez otrucie. W pierwszych trzech z przytoczonych wypadków ręką zabójcy kierowała zemsta, w następnych dwóch i ostatnim chęć usunięcia spadkobierców dla zagarnięcia większego majątku; przyczyną przedostatnich dwóch przytoczyłem wyżej. Nadto rok rocznie płoną stodoły, napełnione zbożem, i zagrody chłopskie, pod które ogień podkłada zbrodnia ręką. Z powyższego widać, że żadne z przestępstw nie było dokonane przez ludzi, uprawiających zbrodnię jako rzemiosło. W dwu z przytoczonych

wypadkach zbrodnia popełniona została pod wrażeniem chwili, wreszcie zaś zbrodniarz działał z rozmysłem. Co doprowadza chłopca do zbrodni? Różne tu powody podawać można, podług mnie wszakże zło wypływa głównie z nadmiernego rozszerzenia się wśród chłopów pieniactwa, do czego znów wielce, a nawet prawie zawsze przyczyniają się żydzi, najwięcej zyskujący na chłopie w chwili jego upadku. Nie będę się tu wysilał na opisy faktów, mogących stwierdzić moje domniemania, gdyż każdy gruntownie obeznany ze stosunkami wiejskimi u nas, po bliższym badaniu i obserwowaniu, dojdzie do tego co i ja wniosku. Dość zresztą uczęszczać stale na posiedzenia sądowe, by wykryć źródło zbrodni, poczynając się zazwyczaj drobnym zatargiem pomiędzy sąsiadem lub rodzeństwem. *Cerber.*

Lublin. W urzędowej gazecie gubernialnej ogłoszono z polecenia p. gubernatora lubelskiego odezwę, skierowaną przeciw ruchowi emigracyjnemu, w której między innymi czytamy: „Wielu mieszkańców kraju tutejszego, dawszy się uwiesić kłamliwym opowiadaniom agitatorów o życiu bez troski w Brazylii, i porzuciwszy ojczyznę i bliską rodzinę, wyemigrowało za ocean, w pogoni za szczęściem. W prędkim czasie emigranci gorzko się rozczarowali i poddani zostali ciężkim próbom wśród obcego wiara i językiem narodu, zdala od krewnych i znajomych. Lecz zaledwie niektórzy tylko, posiadający dostateczne środki materyjalne, zdołali powrócić do ziemi rodzinnej, większość zaś emigrantów, dla braku środków, zmuszona była pozostać w Brazylii, gdzie znalazła się w nader przykrem położeniu, albowiem krajowi eksploatatorzy zabrali ich wprost do niewoli. Dotychczasowy gospodarz, właściciel gruntu, został parobkiem, a liczni emigranci, ażeby tylko wyratować się od śmierci głodowej, zmuszeni byli zgodzić się na robotę do plantacji i przystać na najcięższe warunki, oznaczone w kontraktach, i powynajmować się na długi okres czasu, często na lat sześć lub dziesięć. Według otrzymanych najprawdziwszych wiadomości, w ostatnich czasach parowiec północno-niemieckiego L'oyda przywiózł z Brey do Santos partję emigrantów, składającą się wyłącznie z kobiet i dzieci; według słów tych kobiet, ich mężowie nie mogli jednocześnie przejść z niemi granicy i one same udały się w daleką podróż, na skutek zapewnienia dyrekcyi Lloyda, że kobiety i dzieci powinny jechać oddzielnie od mężów, którzy przybędą zaraz za niemi następnym parowcem. Nie znalazłszy na miejscu roboty, nie posiadając dachu nad głową i środków do życia, rodziny te doświadczają ostatecznej nędzy; dzieci w większej części umierają z głodu, a dziewczęta podrostki schodzą na złą drogę. W obecnym czasie, przy pomocy ruskiego vice konsula w Santos, kilka rodzin powraca do Europy. W stanie św. Katarzyny wychodźcy nie otrzymali przyobiecanych im gruntów, a inna część wychodźców została wysłana w głąb kraju i pozostawiona losowi na pustych przestrzeniach, zdaleka od wszelkich mieszkań i bez narzędzi rolniczych, bez środków do bułowy domów”. Przed niedawnym czasem policja wykryła w powiecie janowskim całą organizację tajnych przewodników przez granicę, a w powiecie nowo-aleksandryjskim zatrzymano agentów emigracyjnych, którzy tym niezgodnym z prawem procederem trudnili się, jak rzemiosłem. Winni oddani zostali w ręce sprawiedliwości, co jednak nie wyratuje tych nieszczęśliwych i pozbawionych przyszłości ludzi, którzy padli ofiarą pięknych słówek i własnej łatwowierności“.

Z CESARSTWA.

Petersburg. (Kor. „Głosu”). Niedawno odbyły się wybory do komitetu towarzystwa wzajemnej pomocy literatów. Zebrali w wszystkiego trzydziestu siedmiu członków na 700 członków towarzystwa (z tej liczby przynajmniej połowa przypada na Petersburg). Zadziwiająca obojętność dla takiej pożytecznej instytucji. Obrani zostali Pleszczejew, Siergiejewicz, Watson i Hajdeburów na miejsce 4 innych członków, co wystąpił przez losowanie z komitetu.—Ostateczne wytknięcie sybirskiej drogi żelaznej nastąpi wkrótce, decyzja wyjdzie od komitetu ministrów. Jednocześnie komunikuję wam, że kanał, łączący Ob z Jenisejem, ukończony będzie w r. przyszłym. Opracowany też już został projekt regulacji rzeki Angary. Koszta wyniosą 1,100,000 rs., albo okrągłe 3 miliony; zależeć to będzie od tego, czy można będzie wzdużyć porowu Szamańskiego rozciągnąć łańcuch krzewowy, czy też trzeba będzie przekopać kanał ze szluzami. *T. B.*

Wilno. (Korespond. „Głosu”). W dziewięciu gimnazjach i czterech progimnazjach męskich okręgu naukowego wileńskiego znajduje się obecnie 4,156 uczniów. Prawosławni stanowią 43.4% ogólnej liczby, katolicy 38.5%, żydzi 13.2%, protestanci 3.8% mahometanie 0.5%. Dzieci szlachty stanowią 65%, włościan około 5%. W dwóch guberniach: wileńskiej i kowieńskiej, chłopcy nabywają

obecnie grunta przy pomocy banku włościańskiego aż w 108 majątkach, mianowicie w powiecie wileńskim w 17, wilejskim—4, dziśnieńskim—11, lidzkim—8, oszmiańskim—9, święciańskim—9, trockim—12, kowieńskim—5, wilkomirskim—5, nowo-aleksandrowskim—4, poniewieżkim—1, rosieńskim—15, telszewskim—3, szawelskim—5. *Sak.*

Preny. („Kor. Głosu”). Miasteczko Preny leży w malowniczej, otoczonej lasami wzgórzami doliny nadniemeńskiej, na pograniczu z gub. wileńską. Od najbliższej stacji kolei żelaznej warszawsko-petersburskiej, Kowna, oddalone są Preny o 4 mile drogi szosowej. Ludność preńska podług obliczenia z roku 1889 wynosi 3,823 dusz; w tej liczbie żydów 2,410 (czyli 63%), nie-żydów 1,413. Ludność żydowska jak wszędzie, tak i tu zajmuje się handlem lub rzemiosłami, nie-żydzi zaś rolnictwem; rzemieślników chrześcijan posiadają Preny zaledwie kilku. Z instytucyj publicznych mamy kościół katolicki i ewangelicki, 2 synagogi, magistrat, sąd gminny, 2 szkoły elementarne, kancelaryję rejenta, urząd pocztowo-telegraficzny, aptekę. Z fabryk: browar piwa bawarskiego. Życie towarzyskie, jak na nie duże prowincjonalne miasteczko, jest dosyć rozwinięte i w każdym razie mniej, niż w innych podobnych miasteczkach, jałowe; czytelnictwo stoi również nie najgorzej, jak o tem wymownie świadczy liczba otrzymywanych na tutejszej poczcie pism, mianowicie: ruskich 13 w 29 egzemplarzach, niemieckich 5 w 7 egzemplarzach, żydowskich 2 w 3 egzemplarzach i polskich 24 w 45 egzemplarzach. Wprawdzie pewna część tych pism przypada na prenumeratorów zapreńskich, znaczna jednak większość abonowana jest przez mieszkańców miasteczka. Ludność okoliczna składa się z litwinów, posiadacze zaś lub dzierżawcy większych majątności (donacyjnych) Niemcy, żydzi i polacy. Gospodarka jest tu prowadzona dosyć postępowo—szczególnie przez Niemców; w niektórych np. majątkach wydajność roli w ciągu ostatnich 8—10 lat pod wpływem umiejętnej kultury podniosła się prawie o 60%. Okoliczni chłopcy, widząc takie wyniki innowacyj, sami coraz chętniej, o ile na to pozwalają warunki, wprowadzają rozmaite ulepszenia. Dodać muszę, że chłop litewski pod względem pracowitości, a co ważniejsza, wytrwałości znacznie przewyższa drobnego szlachcica, to też w okolicach Pren takich ogromnych obszarów nieużytków, o jakich w r. z. pisałem będąc w okolicach Tykocina, ze świecą nie znajdziesz. Dzięki temu, biorąc ogólnie, dobrobyt tu jest znacznie większy; przyczynia się do tego jeszcze i ta okoliczność, że w wielu wsiach nastąpiła już kolonizacja: szlachownice, stanowiące przeszkodę w prowadzeniu racjonalnego gospodarstwa znikły prawie zupełnie. Chłop litewski wogóle trzeźwo się zapatruje na życie i chętnie się do oświaty garnie; wszelkie innowacje wprowadza u siebie nie inaczej, jak po przekonaniu się o istotnej ich wartości. W stosunkach z „surdutowemi” jest taki sam, i nim kogo pozna, nie ufa mu nawet w drobniactwach, ale z chwilą, kiedy się przekona o życzliwości i uczciwości „surdutowca”, można śmiało liczyć na przyjaźń i na poparcie litwina, który w uczuciach swoich potrafi być stałym. Co do pijaństwa, to jakkolwiek nie jest ono zbyt rozpowszechnione, przynajmniej jednak należy, że przy zdarzonych okazjach, np. w czasie świąt, na weselach, chrzcinach, pogrzebach, litwin lubi wypić i wtedy przejawia się jego zawadyjaska natura: lada sprzeczka przejść może w bójkę, która nieraz smutno się kończy. Wiara w felezerów jest u nas mocno rozpowszechniona, przynajmniej jednak muszę, że w porównaniu np. ze szlachtą podlaską chłop litewski leczy się częściej, a jeżeli nie tak często, jakby tego życzyć należało, to, zdaje mi się, głównie dlatego, że dotąd taksa lekarska była wogóle za wysoką, skutkiem czego chłop nieraz zmuszony był wyrzec się porady. Na zakończenie wypadnie mi zaznaczyć, że gorączka brazylijska wśród litwinów w ubiegłym roku prawie nie istniała, gdyż, o ile mi wiadomo, wyemigrowało ztąd do Brazylii wogóle bardzo mało osób, z drugiej jednak strony dodać muszę, że do Stanów Zjednoczonych emigrują litwini chętnie i rok rocznie dostarczają znaczny kontyngens emigrantów. *Fr. Gruda.*

Z pow. Zwinogradzkiego. (Kor. „Głosu”). Gospodarze są tego zdania, że rok zeszły był gorszy od poprzedniego. W zaprzęszonym nie było nic, więc nie potrzeba było płacić robotnikowi za zbiór słomy. Zeszły rok był, jak mówią, urodzajny w słomę, więc robotnik kosztował za dużo. Wydajność jednak była mała, a cena pszenicy lada jaka. W tych biadaniach jest jak zwykle trochę przesady, ale bądź co bądź rok pomyślnym nie był. To wszystko jednak nie przeszkadza nam bawić się w najlepsze. Aby zaś położenie się nie pogorszyło, myślimy potrosze o zredukowaniu naszych rozchodów. Od czego zacząć? Pism stanowczo za dużo trzymamy. Trzeba by coś ująć

z tego. Nie wszyscy jednak wprowadzamy w czyn tak chwalebne zamiary. Przywykliśmy już do druku, który nam tygodniowo poczta przynosi, nie łatwo by nam było obejść się bez niego. A i wstyd by było powiedzieć: nie mam 10 rubli na całoroczną prenumeratę, gdy się przegrywa tyleż jednego wieczora w wintę. Odważniejsi oświadczać pół seryjo, a może całkiem seryjo: „Wolę te pieniądze w wintę z sąsiadami przegrać”...—Nie polujemy często: zwierzyzny brak i humoru, a utrzymanie chartów i wynagradzanie szkód przez nie czynionych stanowi poważniejszą rubrykę w budżecie naszym, niż całoroczny wydatek na książki i czasopisma.—Trafiła nas tu szczególniej mucha heska. Obawiają się, że w tym roku wielkie szkody poczyni. Zamożniejsi powiadają: „Jak obrodzi, to będzie dla nas, będzie i dla muchy”. Rzecz prosta, iż ogół chciałby, aby dla muchy było jak najmniej, a dla ludzi jak najwięcej. Trzeba by coś uczynić, ale co—niewiadomo. O samej musze gospodarze nasi mają bardzo niedokładne pojęcie. Jedni powiadają to, inni owo. Pism specjalnych nie trzymają, entomologami nie są. Zresztą pocoby się te wiadomości zdały? Wszyscy jesteśmy przecie tego zdania, że z heską muchą walczyć nie podobna. Dopuśczenie Boże! Przypuszczamy, że heską muchę można by było zwalczyć tylko przez spalanie na pniu zarażonego zboża. Zastosowanie tego środka potrzebuje koniecznie zbiorowego działania całej okolicy. Bo gdy obok spalonej niwy będzie zarażona, z tej ostatniej mucha najspokojniej powędruje dalej.—Przez całą jesień panował tu po wsiach straszny tyfus. Od miesiąca jednak, gdy się zaczęły tegie mrozy, ustał. A że mrozy, więc trzeba opału. Lasów tu niewiele, palą słomą. Więc właścianin idzie do dworu i bierze słomę na letni odrodek.—O emigracji do Brazylii nie tu zgola nie słychać. *A. D.*

Minsk. Młody obywatel gubernii mińskiej, p. Piotr Złowacki, kilka miesięcy temu ożenił się z młodą neofitką. Przed paru tygodniami przyjechał on do Mińska z żoną, która niezadługo miała zostać matką. Pani Z. udała się za sprawunkami ze służącą; na ulicy kilku oczekujących na nią żydów złapało ją, zawiązało usta i wpakowawszy do dorozki, uciekło wraz ze swoją ofiarą. Według doniesień „Kijewlanina”, wszelkie poszukiwania policji dotychczas nie odniosły żadnego skutku.

Z ZAGRANICY.

Kraków. (Kor. „Głosu”). Urzędownie stwierdzono, że w roku ub. wyemigrowało z Galicyi na Kraków i Oświęcim do Brazylii 1,140 osób. Cyfra ta, jak na nasze stosunki, poważna, z którą liczyć się wypada. Niejednokrotnie omawiano już w „Głosie” żywotną kwestyję wychodźstwa i oświetlono ją wszechstronnie, z naszej zaś strony usiłowaliśmy zawsze przysparzać odpowiedniego materiału, który obejmował charakteryzujące najwybitniej objawy wychodźczy dane z Galicyi i Bukowiny. Dziś pragnąłbym zapoznać czytelnika z głosem znanego statystyka profesora krakowskiego uniwersytetu, Józefa Kleczyńskiego, ze wszech miar zasługującym na uwagę. Dr. Kleczyński, stwierdziwszy na wstępie swego artykułu, że prąd emigracyjny jest stały, zapytuje: czy współdziałal organów bezpieczeństwa jest tu istotnie pożądany, i odpowiada zaraz na to pytanie przecząco. Faktem jest, że wielu właścianin aresztują żandarmi po wsiach bez żadnego rozgłosu, a do wiadomości publicznej podają tylko aresztowania lub t. zw. chwilowe przytrzymania dla względów formalnych na dworcach: oświęcimskim i krakowskim. Do emigracji, według prof. Kl. skłaniają u nas w Galicyi lud nie tyle agitacje pokątne, ile brak zarobku i ztąd ciężka nędza w kraju, oraz przesyłki pieniężne od emigrantów do rodzin, na miejscu pozostałych. Autor twierdzi, że właścianin nasz żyje w Ameryce lepiej, niż w kraju, i oszczędza nawet grosza. Nie wyobraża on sobie Ameryki, jako Eldorada, przeciwnie, uświadamia sobie czekającą go tam ciężką pracę. „Nie należy zapominać — pisze prof. Kl., że u nas przez $\frac{2}{3}$ roku dzienna płaca zarobkowa spada aż do 10 centów, bo z wyjątkiem pory żniw jest ręk więcej, niż zajęcia, ztąd ceny zarobku należą do kategorii *głodowych*. Naoczni świadkowie twierdzą, że w okolicach górskich szczególnie nie brak każdej wiosny ludzi, co żywią się korą, liśćmi i t. d., że często na przednoku daje matka dzieciom pić ciepłej wody dla „oszukania żołądka”. Dla tego też dr. Kl. zapytuje: „czy ta nędza na okęcie jest cięższą od tej, jaką cierpiał w kraju? Niewątpliwie i droga przykra i pobyt w Ameryce nie usłany różami, ale tutaj pozycja bez wyjścia. O ile sędzić można, marniej $\frac{1}{6}$ lub $\frac{1}{5}$ część wychodźców, ale podnieśmy ją do 25 lub 33%, czy dziwić się będziemy, że pozostałe dwie trzecie uratowanych od nędzy stanowić musi dla innych podniętę do naśladowania? Dr. Kleczyński jest zdania, że należy naszego chłopca odwracać od takich

miejsce, jak Brazylija lub Argentyna, ale nie należy o taczać jego wyjazdu trudnościami, kiedy doświadczenie wskazuje, że w Stanach Zjednoczonych z biedą i ciężką pracą daje sobie radę. Z kolei omawia szan. prof. trudności paszportowe (konieczność legitymowania się z posiadania 240 złr., kiedy podróż kosztuje tylko do 80 złr.) i dochodzi do przekonania, że władze winny zreformować przepisy o emigracji, która u nas w Austrii jest dozwoloną—w kierunku rozsądniejszej opieki nad wychodźcami i ułatwiania wyjazdu legalnie emigrującym, inaczej bowiem właścianin widzieć będą zawsze w agentach-oszustach swych przyjaciół i wybawców. Autor zachęca również ogół do współdziałania w doniosłej akcji należytego zorganizowania wychodźstwa, lecz w tej mierze już nie daje bliższych wyjaśnień. — Wskutek doniesienia policji rzeszowskiej zarządza prokuratoryja państwa w Przemyśle energiczne śledztwo w sprawie handlarzy dziewczętami, które wywożono z całej Galicyi do domów publicznych w Konstancyopolu. Sprawdzono już, że z końcem sierpnia 1889 roku sprzedali małżonkowie Fleckowie w Przemyśle Katarzynę Adamów, 16 lat liczącą, córkę stolarza, agentowi ze Lwowa, a Maryję Komuniak (17 letnią), córkę gospodarza z Sadowic, agentowi w Samborze. Agenci wywieźli swe ofiary do Pesztu, a potem do Konstancyohola, gdzie przybycia „transportu” oczekiwało 9 kupców. Po zbadaniu fizykiem ofiar nabył je Kugel, właściciel domu publicznego, płacąc za każdą dziewczynę po 60 lirów tureckich, t. j. przeszło 600 złr. Towar zawieziono do domu i umieszczono na 1-em piętrze pod zamknięciem i strażą, nie dopuszczającą porozumiewania się dziewcząt. Wszystkie powyższe szczegóły wiadome są z zeznań Katarzyny Adamów, która w październiku roku ubiegłego spuściła się podczas nocy z 1 piętra oknem na prześcieradłach na ulicę i, dzięki interwencji ambasady austro-węgierskiej, dostała się do Galicyi. Maluczko więc, a będziemy świadkami nowego procesu handlarzy ciałem ludzkim, a więc ohydniejszych jeszcze „rycerzy przemysłu” niż emigracyjni agenci.—Akcja przedwyborcza w zachodniej Galicyi odbywa się bez porównania spokojniej, niż we wschodniej części kraju, gdzie rzekomi przedstawiciele „demokracji” sieją basnie i gorszące klótnie we własnym obozie, nie wiedząc, że to bystra woda na młyn przeciwników, karnie postępujących. W Krakowie, jak wiadomo, walka toczy się będzie między Chrzanowskim a Sokołowskim, gdyż wybór Weigla jest niemal zapewniony. Na wczorajszym zgrupowaniu wyborców tutejszych, celem powołania do życia komitetu kierującego całą akcją, zwyciężyła przeszło 170 głosami lista postępową, czyli „N. Reformy”. Z powiatu krakowskiego i wielickiego kandydują: ks. prof. Chotkowski i notaryjusz Piotr Michałek, syn właścianina. Ostatniego popiera komitet właścianiski, zawiązany w Mogile. Z polecenia władz przedsięwzięła żandarmeryja powiatowa rewizyję u kilku członków mogińskiego komitetu, uważanego za nielegalny, między innymi u popularnego właścianina Macieja Szarka w Brzegacu. Komitet centralny zatwierdził już kandydatury: ks. Kopycińskiego i ks. Raczki, popierając oczywiście w Krakowie p. Leona Chrzanowskiego. W Tarnowie przejdzie prawdopodobnie dr. Tadeusz Rutowski. — List otwarty prof. Rostafińskiego w sprawie wyboru miejsca pod pomnik Mickiewicza, przez ogół sympatycznie przyjęty, nie podobał się p. Wojneko-Tomkiewiczowi, artyście-malarzowi i literatowi w jeanej osobie, który replikując również w „liście otwartym” oświadcza się za wiekopomnym projektem p. Przeździeckiego w drugiej edycji, t. j. za placem półkolistym przed wylotem ul. Sławkowskiej, którego urządzenie za kwotę 28,000 złr. podjąć się ofiarował nieistniejący komitet. Jest nadzieja, że nasz „kierownik” po powrocie z Cannes, dokąd się udał dla poratowania nadwątlonego estetycznymi studjami zdrowia, zaproponuje trzecie miejsce.—Rada m. Krakowa ma niebawem w tej sprawie zadecydować. Jeden z przyjaciół hrabiego ma postawić na posiedzeniu rady o wniosek zamianowania p. Przeździeckiego honorowym obywatelem m. Krakowa w uznaniu jego „zasług”. — Krakowskie stowarzyszenie nauczycielek rozwija się coraz lepiej. Na cel wybudowania własnego domu posiada już ta instytucja przeszło 1,800 złr. Rada miejska ma odstąpić plac bezpłatnie. Dziwią się tu powszechnie, że namiestnictwo zniósło rozporządzenie krakowskiej komisji sanitarno-budowlanej co do zamknięcia paralelnych klas w gimnazjum św. Anny, które, jakem już donosił, mieściło się nad lodowniami. Po tygodniu, dyrektor zmuszony był otworzyć szkołę, aby dzieci dalej oddychały szkodliwym powietrzem. Mimowoli rodzi się pytanie, na co było urządzać szopkę zamykania?—W teatrze zapowiadają na sobotę premierę Z. Przybylskiego p. t. „Protekcja dam”. Wypada zaznaczyć, że u nas protekcja taka dużo może zrobić. *Vo.*

L w ó w. (Kor. „Głosu”). Żyjemy, jak trafnie powiedział Henryk Rewakowicz, w epoce strasznej „nędzy demokratycznej”. Przeciw długoletniemu, szczeremu obrońcy żywotnych spraw kraju Karolowi Lewakowskiemu, wystąpiła lewica, która wywiesiła sztandar demokratyczny. Ona to forytuje na posła do rady państwa z m. Lwowa, p. St. Szczepanowskiego, popieranego (o dziwo!) przez rząd, wiceprezydenta miasta Marchwickiego i kilku żydowskich bankierów, tworzących „ring”, a mianowicie Horowitza, Szafa i t. d. Organ półrządowy demokracji „Dzien. Polski”, którego redaktor dwójga nazwisk Ostaszewski-Barański sięga po mandat w okręgu Sambor-Rudka (przeciw rusinowi Teliszewskiemu), popierany tam gorąco i dźwięcznie przez Szczepanowskiego, odplaca pięknem za nadobne w stolicy, rzucając kamieniem potępienia na Lewakowskiego i jego popleczników, w pierwszym zas rządzie na „Kuryjer lwowski.” Walka ta jest po prostu wstrętą. Szczepanowski, ów głośny ongi autor „Nędzy Galicyi”, dziś inicjuje akt nowej nędzy zaledwie podnoszącej głowę „demokracji”. W jakim celu—spytacie? Wszak Szczepanowski mógłby przejść w każdym innym okręgu, i tanim kosztem przespacerować się do Wiednia. Otóż w tem sęk, że interesa naftowo-bankierskiej natury wymagają, jako warunku „sine qua non”, mandatu ze Lwowa. Ciekawe są doprawdy poglądy społecznej politycznej p. Szczepanowskiego. Zapytany na zgrupowaniu wyborczym, jak się zapatruje na kwestyję powszechnego głosowania—odparł przysły obrońca kraju, że jest przeciwny temu, bo Galicyja liczy 78% analfabetów (sic!). P. Szczepanowski np. utrzymuje, że Galicyja nie jest wcale krajem szlacheckim, choć wiadomo powszechnie, że dziś nawet przypomina ustrój feudalistyczny, z powodu przewagi większej własności. Nie, autor „Nędzy” twierdzi, że kraj nasz jest „par excellence” demokratyczny, liczy bowiem tylko 1500 rodzin szlacheckich.—Mamy nadzieję, że wyborcy m. Lwowa nie dadzą się wziąć na lep oklepanych frazesów p. Szczepanowskiego, który z iście teatralną emfazą ustawicznie powtarza się w odczytach i przemówieniach, korzystając z pewnej sumy encyklopedycznych wiadomości. — W okręgu przemyskim kandydują: dr. W. Lewicki, redaktor „Ekonomisty” i wice-burmistrz Gamski, w Tarnopolu adw. dr. Jেকেles, popierany przez żydów, w b. obwodzie lwowskim z większych posiadłości minister Zaleski, a w okręgu Lwów, Gródek, Jaworów, p. D. Abrahamowicz. — Komitet centralny przedwyborczy zatwierdził kandydatury Leona hr. Ponińskiego (Tarnopol—Zbaraż—Skalał), F. Wolfarta (Brzeżany—Podhajce—Rohatyn) i A. Podlaszeckiego rusina (Kołomyja—Kossów—Śniatyn).—Wczoraj odbyła się tutaj rewizyjna policyjna w mieszkaniu sędziego powieściopisarza p. Wacława Koszczyca (Sahibeja).—Inspektorem szkół rolniczych w Galicyi mianowany został p. W. Struszkiewicz.—Dziś ma nastąpić ukonstytuowanie się kuratoryj bar. Hirscha. Między innymi, powołani będą pp. Gniewosz, Rapaport i prof. Rozenblatt z Krakowa. *Lambda.*

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

W ostatnim numerze wspominaliśmy o kilku objawach, świadczących o chęci cesarza Wilhelma zbliżenia się, a przynajmniej złagodzenia stosunków z Francją. Czy uprzejmość cesarska miała istotnie na celu zgodę, która pozwoliłaby na śmielszą akcją względem innego sąsiada, jak się domyślają niektóre dzienniki — rozstrzygać nie możemy. To tylko pewne, że nie brak nowych oznak życzliwości monarcha. Malarzom francuzkim oddaną być ma najlepszą salę wystawy, artyści niemieccy szykują swym francuzkim kolegom owacyjne przyjęcie, koleje dostarczyć mają biletów wolnej jazdy i t. d. Uwieńczeniem tego niespodziewanego zwrotu była podróż cesarzowej Fryderykowej z córką do Paryża. Zwiedzają one pracownie artystów, muzea, wieżę Eiffla, odbywają spacer w lasku bolońskim, słowem są jeżeli nie jak u siebie w domu, to przynajmniej jak u przyjaciół.

We Francji umizgi niemieckie przyjęto na razie bardzo życzliwie. Malarze postanowili przyjąć udział w wystawie i osobiście ją zwiedzić, rząd ozdobił Helmholtza i jeszcze jakiegoś Niemca orderem legii honorowej, dzienniki odzywały się sympatycznie o dostojnych gościach, a elegancka publiczność zjeżdżała się tłumnie i oklaskiwała wystawione na scenach prowincjonalnych utwory Wagnera, które dotąd spotykano we Francji jedynie sykaniem. Słowem zdawaćby się mogło, że Francja zapomniała już o utraczonych prowincjach i wyrzekła się ambitnych marzeń o odzyskaniu hegemonii w Europie. Nadzieje

jednak na przywrócenie przyjaźni między „naturalnymi sprzymierzeńcami” (jak się wyraził ongi Lesseps) zaczynają jednak zawodzić. Mieszczanstwo francuzkie w pogoni za zyskiem i użyciem zatraciło w znacznej części poczucie narodowe, wyrazicielami jego opinii stała się kosmopolityczna banda przybyszów ze wszystkich końców świata; inaczej jest jednak winnych sferach narodu.

Nie zapominają one przeszłości i nie zrzekają się przyszłości. Mnożą się ciągle protesty przeciw zbliżeniu się do Niemiec. Derouledé i Laur urządzili manifestację w Paryżu przed statua Strasburga. Antoine (były poseł do parlamentu niemieckiego) miał gorącą mowę wstowarzyszeniu alzacko-lotaryngskiem. Z gorącymi artykułami przeciw udziałowi w wystawie berlińskiej wystąpiły *Autorité* (Cassagnac) i *Rappel*. Francja oświadcza głośno, jak oświadczyła to już poprzednio obalając Ferry'ego, że nie da się przekupić śmiechem, lub jakimś nowym Tonkinem.

Objaw ten poczucia narodowego Francji nie podoba się zapewne Wilhelmowi II, a jest on już i tak rozdrażniony i zniechęcony. Na obiedzie dla posłów brandenburskich wygłosił on wielką mowę, w której zaznaczył, że z przykrością widzi, iż cele jego i plany są zapoznawane, oświadczył jednak zarazem, że to go nie wstrzyma, wierzy bowiem w swe boskie posłannictwo i ufa, iż wszyscy wierni poddani, zwłaszcza zaś brandenburczycy pójdą za nim. W mowie były gorzkie aluzje do ludzi, rozsiewających fałszywe pogłoski i przekraczających jego czyny.

Słowa monarsze dają temat do masy komentarzy, których nie możemy tu powtarzać. Prawdopodobnie część przynajmniej swych żalów i gniewu przeznaczył cesarz dla ks. Bismarka.

Pogłoski o pociągnięciu do odpowiedzialności tego ostatniego nie ustają, powiadają nawet, że żelazny książę nie czuje się bezpiecznym w Niemczech i ma zamiar przenieść się do Londynu, dokąd już przesłał swoje kapitały.

Za tydzień będziemy już wiedzieli rezultaty wyborów do austriackiej rady państwa. Dziś zanotować możemy jedynie kompletny chaos. Stronnictwa dotychczasowe rozpadają się na frakcje i odcienia, toczące z sobą zaciekle walki. O tłumie kandydatów do godności poselskiej powziąć można wyobrażenie z tego, że w jednym okręgu wiedeńskim (Hernals-Wöhl) przeciwko antysemitom chrześcijańsko-społecznemu (ks. Lichtensteinowi), występują znany demokrat dr. Kronnawetter, dwaj antysemitom narodowoniemieccy: Hipp, popierany przez Schönerera i Frassl kandydat „zjednoczenia narodowo-niemieckiego”, wreszcie socjalista Rumann, tokarz. Z wielu mów, wygłoszonych obecnie, zaznaczamy przemówienie Chlumetzky'ego, dowodzącego że w Galicyi nastąpił zwrot pomyślny i że przyszła większość da się złożyć z lewicy i Koła Polskiego, oraz mowę młodoczecha Kaizla, zapewniającego o gotowości jego stronnictwa do wejścia w układy z rządem.

W Belgii panuje wciąż niespokojne wrzenie. W koszarach brukselskich znajdują pisma podżegające, w Charleroi zastrejkoowało 1,100 robotników, obawiają się zaś znowy powszechnej. Pomimo tych groźnych oznak, kwestyja rewizji konstytucji nie posuwa się wcale. Głosowania powszechnego nie chcą konserwatyści („katolicy”), nie żywią też doń wielkiej sympatii liberalni, a część ich jest nawet stanowczo wrogą tej innowacji. Przywódca t. zw. „doktrynerów” Frère Orban złożył nawet próślowi memorandum, dowodzące, że głosowanie powszechne jest sprzeczne z ideą monarchiczną, właściwiej może byłoby powiedzieć z „ideą burżuazyjną”, jak się wyrażał Lassalle.

W Norwegii oddawna już zauważyć się dawała chęć usunięcia wszelkich pozorów nawet supremacji Szwecji. Ostatnimi czasy podniesiona została kwestyja równouprawnienia Norwegii ze Szwecją w stosunkach dyplomatycznych z zagranicą. Z powodu różnic w zapatrywaniach na tę kwestyję norweski gabinet konserwatywny podał się do dymisji i do władzy przyjdzie stronnictwo radykalne.

Żywioły skrajniejsze objęły też ster spraw serbskich. Gabinet Gruicza, dążący do zlania radykałów z liberałami, musiał się usunąć. Na czele nowego rządu stanął dotychczasowy prezes skupczyny, Pasicz. Człowiek ten był niegdyś za udział w powstaniu przeciw Milanowi skazany na śmierć i wrócił do ojczyzny na krótko przed abdykacją tego ostatniego. Jest on jednym z najpopularniejszych ludzi w Serbii i wielkim wrogiem Austrii.

Pomimo zapewnień rządu angielskiego o niezachwianym zamiarze opuszczenia Egiptu, nie zaniedbuje on jednak coraz bardziej rozszerzać swej władzy w krainie faraonów. Zagarnąwszy już armiję i finansę, Anglija poddała obecnie swej kontroli sądownictwo. Przedstawiciel Francji założył energiczny protest.

Pierwsze posiedzenie „wyższej rady pracy” w Paryżu, nieprzyjemnie zdziwiło sfery rządowe. Jeden z 16 robotników, Ribanier podał się do dymisji, ponieważ syndykaty robotnicze nie chcą, iżby ich członkowie zasiadali w radzie jako mianowani urzędnicy, nie zaś wybrani przedstawiciele.

Z kilku strejków o których donoszą telegramy, zasługuje na zaznaczenie strejk 3,000 robotników w fabryce senatora Rossiego w Schio z powodu obniżenia płacy. Fabryka ta znana była z filantropijnych instytucyj, założonych przez właściciela w duchu „patronatu”.

Z Ameryki nadchodzą wciąż burzliwe wieści. Powstanie w Chili trwa dotąd. W Buenos Ayres rano na ulicy gen. Rocce, wskutek czego ogłoszono stan oblężenia. W Kanadzie wreszcie wre walka wyborcza, której rezultaty mogą się okazać dla Anglii fatalnymi. Stronnictwo liberalne, dążące do zjednoczenia ze Stanami Zjednoczonymi, ma wielkie szanse powodzenia, gdyż bill Mac Kinleya grozi Kanadzie ruiną.

Bułgarskim ministrem wojny na miejsce Mutkurowa mianowany został Sawow.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Kozporządzenia rządowe.** W myśl przepisów, normujących pracę robotników, ma być wprowadzony obowiązkowy regulamin pod względem roboty nocnej. Zostanie bezwarunkowo wzbronionem, aby robotnicy, tak w fabrykach, jak w warsztatach w ciągu dnia zajęci, byli używani do pracy nocnej. W ogóle zaś pracą nocną mogą się zajmować tylko ci, których silna komplekcyja zostanie przez lekarzy poświadczoną.—Departament lekarski zawiadomił urzędy nadzorcze sanitarnopolicyjne o wprowadzeniu od dnia 1 kwietnia obowiązkowych przepisów sanitarnych dla zakładów fabrycznych i przemysłowych.—Z dniem 13 kwietnia wchodzi w wykonanie postanowienie o przewoźnie ciężarów po szosach Królestwa Polskiego. Po upływie tego terminu, technicy powiatowi powinni się stawiać natychmiast na każde wezwanie, dla zarządzenia środków bezpiecznego przewożenia ciężarów, oraz uchronienia szosy od uszkodzeń.—Minist. wojny pozwoliło zapisaniem do wspólnego ruszenia odbywać ćwiczenia w miejscu czasowego ich zamieszkania, natomiast zarządy wojskowe mogą terminu odbywania owych ćwiczeń naznaczać w każdej porze roku.

— **Kronika społeczna.** Ludność Królestwa wynosi (oprócz wojenskiej) $8\frac{1}{4}$ milij. Na 1 kw. wiorstę przypada 74 głów (gęstość ludności we Francji). Miasta zamieszkuje 18 $\frac{1}{2}$ % ogółu ludności. Pod względem wyznań: katolików 75, żydów 13, ewangelików 5,4, prawosławnych pięć procent.—Celem obznajmiania interesowanych z warunkami zakładania na prowincyi sklepów miejskich i wiejskich, ma być utworzony przy sekcji przemysłu rolnego warszawskiego towarzystwa popierania przemysłu i handlu specjalny oddział informacyjny. Stowarzyszenie spożywcze „Merkury” przyjęło na siebie obowiązek zaopatrywania sklepów wiejskich w produkty spożywcze i domowe drogą zaliczeń. Agentury wszelkich materyjałów, do użytku rolnego i gospodarskiego służących, dla 10 sklepów wiejskich na prowincyi podjęła się jedna z tutejszych firm kupieckich.—W kwestyi kąpieli ludowych towarzystwo popierania przemysłu i handlu uznało za najodpowiedniejsze celowi urządzenie kąpieli natryskowych ciepłych i to nie jednej centralnej, na wielką skalę dla całego miasta, lecz kilku lub kilkunastu w różnych dzielnicach, w miarę potrzeby.—Towarzystwo kredytowe ziemskie uchwaliło wyasygnować rs. 50,000, celem spłacenia długów lichwiarskich, jakie ciąży na urzędnikach władz centralnych towarzystwa.—Inspektor fabryczny okręgu warszawskiego pociągnął do odpowiedzialności karnej fabrykanta Izaaka Hufnagla, za naruszenie przepisów o robotniczo-robotniczych. Nadto wykryto, że w tejże fabryce robotnicy na rachunek swoich zarobków otrzymywali marki do sąsiedniego szynku.—Kółko weterynaryjne, tak warszawskich, jak i prowincjonalnych, opracowuje ustawę towarzystwa weterynaryjnego, którego celem ma być praca nad postępowaniem tej gałęzi nauki, oraz utworzenie pisma sprawom tym poświęconego.—W Płocku zawiązuje się (ponownie) tow. lekarskie.—Straż ogniowa w Łęczycy liczy 91 czł. czynnych i 67 honorowych, we Włocławku 180 i 468, w Turku 140 i 38.—Pieniactwo warszawskie: gdy ludność Warszawy zwiększa się corocznie o 4 $\frac{1}{2}$ %, suma kar, nakładana przez sądy pokoju, wzrasta o 10 $\frac{1}{2}$ %.—Zmarły we Włoszech T. Łęczycyka zastrzeżony w testamentem, iż spadkobiercy jego, żona (włoszka) i brat, mają złożyć każdy po 60,000 franków na kapitał, który winien posłużyć do założenia w ciągu najpóźniej 10 lat schronienia dla

podrzuczonych niemowląt w obrębie gubernii kaliskiej.—Zmarły w tych dniach w Paryżu Wł. Niewiarowicz, zapisał około 200,000 franków na rzecz młodzieży, pragnącej się wydoskonalić w sztukach pięknych, a pozostającej pod opieką zakładu Ossolińskich we Lwowie.—Robotnicy z Królestwa mogą pracować w Prusiech od 1 kwietnia do 1 listopada.—Mają być wydane przepisy, wymierzone przeciw lichwie na wsi.—Został opracowany projekt równouprawnienia kobiet i mężczyzn w Cesarstwie pod względem spadkobierstwa.

— **Kronika ekonomiczna.** Szczegółowy projekt prawa o przywilejach i patentach na wynalazki obejmuje punkty, z których ważniejsze przytaczamy: utworzenie biura rządowego, na wzór *Patent-Amt*, składającego się z oddziałów, stosownie do specjalności, i dwóch instancyj; powiększenie terminu przywilejów do lat 20; większe gwarancyje nowości i oryginalności wynalazku; przyjęcie zasady pierwszeństwa w razie zejścia się dwóch podobnych wynalazków; nadanie prawa wynalazcom wprowadzania ulepszeń w ciągu pewnego terminu; szersze określenie przedmiotu przywileju; wykupywanie przez rząd pożytecznych wynalazków; ściśle określenie wynalazków, nie podlegających przywilejom; uregulowanie stosunków pomiędzy wynalazcą a tym, który dany wynalazek ulepszył i t. d.—Kasa pożyczkowa przemysłowców kieleckich ma 508 członków, w r. z. udzieliła pożyczek 475 na sumę 132 tys. rs. Obrót ogólny 360 tys. rs., zysk 2,326 rs.—Stow. spożywcze „Merkury” ma członków 1,986, majątku 30 tys. rs. Obrót za ostatnie półrocze wynosił 101 tys. rs.—Działalność nowo założonego tow. budowlanego „Pomoc” w Poznaniu pomyślnie się rozwija, spółka „Bazar”, założona przed kilku laty dla popierania przemysłu, ma przeszło milion talarów majątku.—W okresie czteroletnim (1886—1890) suma długów hipotecznych nowo wpisanych wynosiła dla okręgów wiejskich w W. Ks. Poznańskim 173,450,000 marek, dla okręgów miejskich 83,770,000 m., suma zaś umorzeń w okręgach wiejskich 182,170,000 m., w okręgach miejskich 49,130,000 m.—Produkcya cukru wynosi: w gubern. poln.-zach. 16,3 mil. pudów, w Królestwie 3,7 mil.—Ma powstać w Petersburgu bank eksportowy dla wywozu zboża za granicę z kapitałem 75 milij. rs.—Ze sprzedaży patentów handl. dla Warszawy wpłynęło na rzecz skarbu państwa w 1890 r. 660,629 rs.—Ministerjum skarbu przystępuje do opracowania tablicy geograficznego podziału dochodów państwa w różnych miejscowościach państwa.—Dywidendy banków ziemskich wynoszą: charkowskiego 14 $\frac{1}{2}$ %, petersb.-tulskiego 11 $\frac{1}{2}$ %, połtawskiego 17 $\frac{1}{2}$ %, jarosl.-kostromskiego 7 $\frac{1}{2}$ %, wileńskiego i moskiewskiego po 16 $\frac{1}{2}$ %, kijowskiego 20 $\frac{1}{2}$ %. Skutkiem tak korzystnej dywidendy istnieje silny popyt na giełdzie petersburskiej o te papiery, przyczem kurs kijowskich posunięto do 670 w płaceniu bez sprzedawców.—W minist. dóbr opracowany został projekt asekuracyi zasiewów od gradobicia.—Dla podniesienia hodowli bydła i polepszenia gospodarstwa mlecznego, ministeryum dóbr państwa zamierza wkrótce urządzić szkoły ruchome we wszystkich guberniach, gdzie rozwinięta jest hodowla bydła rogatego i owiec.—Zapasy pszenicy w Ameryce wynoszą w b. m. 23 milij. buszli.—Przywóz pszenicy do Francji wynosił w ciągu 10 miesięcy r. z. z górą 8 milij. cetn. metrycznych, z tego na Rosyję przypada 2,5 milij. Najlepiej jest notowaną naszą, bogatą w glutynę sandomierka. Cena 1 puda we Francji 1 rs. 40 kop., po strąceniu cla 28 kop. i kosztów przewozu i t. p. 9 kop.—pozostaje 1 rs. 3 kop.

— **Szkoly i oswiata.** Galicyja posiada szkół ludowych etatowych 2,500, filijalnych 1,180, wzorowych 10. Do szkół uczęszcza 240,700 chłopców i 206,568 dziewcząt. Nauczycieli jest 3,803, nauczycielek 1,617.—Pani S. Przewóska otwarła w Warszawie szkołę zawodową, w której między innymi wykładają się druciarstwo galanteryjne, naprawa dzieł sztuki i t. p.—Na wykłady do muzeum pszczelniczego na Koszykach uczęszcza obecnie trzydzieści osób.—Na kupno w tym roku nowych dzieł dla biblioteki uniwersytetu warszawskiego wyznaczono sześć tysięcy rubli.—Istnieje podobno projekt otwarcia instytucyj rolniczych we wszystkich miastach uniwersyteckich. Inst. w Nowej-Aleksandryi ma być przemieniony na szkołę średnią rolniczą, na wzór humańskiej (gub. kijowska).—Zawiazane w końcu r. z. w Petersburgu towarzystwo do rozszerzania wśród kobiet nauki rzemiosł, otworzy wkrótce kursa robót żeńskich, założy muzeum robót wzorowych i t. p.—W Petersburgu otwartą będzie niebawem specjalna szkoła dla palaczy (pomocników maszynistów).—Dług studentów uniw. petersburskiego towarzystwu pomocy wynosi 170 tys. rs.

— **Literatura i sztuka.** Budżet teatrów warszawskich na r. b. przewiduje następujące dochody: stałe zasilek od skarbu rs. 60,000, opłata za mieszkanie i sklepy w gmachu teatralnym rs. 28,697; niestale: przedstawienia w teatrze Wielkim rs. 162,181, w Rozmaitości rs. 121,000, w Małym i Nowym rs. 90,000

i t. d., ogółem 512 tys. rs. Wydatki przewidywane: administracja rs. 30,910, płace personelu teatrów Wielkiego i Rozmaitości rs. 272,352, płace personelu teatru Małego rs. 84,256, płace artystów zagranicznych rs. 12,000 i t. d., ogółem 500 tys. rs. — „Nowe epizody z ostatnich lat Imci Jana Chryzostoma Paska”, świeżo zostały odkryte. Pismo „Der Zeitgenosse” drukuje artykuł Wl. Rabskiego (naszego współpracownika) o Świętochowskim i pokrewnych mu pisarzach. — Wyszły z druku: zeszyt 20 „Encyklopedyi medycznej i higieny” d-ra Bonami'ego, trzy pierwsze tomy taniego wydawnictwa Dumasa „Trzej muszkietierowie”, „Wielkiej encyklopedyi powszechnej” zeszyt 22, zawierający wyrazy od „Anonim” do „Antycypaeya”. — W tomie XV „Zapisek tow. geograficznego”, znajdują się „Materiały do etnografii plemienia łotyskiego w gub. witebskiej”, E. Woltera. Ogłoszona dotąd część I obejmuje „Uroczystości i pieśni familijne łotyszów”. — Prof. Malinin wydał osobno w Kijowie swój odczyt o „Poglądach ludu ruskiego na osobę króla (carja) w *bylinach*”. — Młody poeta, Radowan Koszutić, przełożył „Grób Agamemnona” na j. serbski. — „Mirtala” Orzeszkowej została przełożona na język niemiecki. — „Historja ruchu społecznego w XIX stuleciu” Bolesława Limanowskiego, ma się ukazać w przekładzie czeskim. — W „Revue historique” wkrótce się ukaza studyja nad historją polską b. prof. univ. warsz. Kariejewa. — „Réforme sociale”, pomieściło pracę warszawskiego adwokata, p. A. Suligowskiego „O mieszkaniach dla robotników”. — Nast. utwory Sienkiewicza zostały przełożone na język czeski: „Bartek zwycięzca”, jako powiastka z życia szlachaków czeskich (!) w Prusiech i „Szkiecę węglem”. — Pism w języku ruskim wychodzi w Galicyi i na Bukowinie 19. — Głośnego romansu Bellamy'ego „W roku 2000-ym”, wyszło w Ameryce 301 wydanie, w Anglii—31. — Włóścianin Żarna w Zgierzynie pod Nowym Tomyślem (Poznańskie), urządził teatr amatorski na wsi na rzecz czytelnicy. Zebrał 30 marek. — W Nowym Jorku zaczął wychodzić tygodnik humorystyczny p. t. „Wesoły amerykanin”, który z wyjątkiem działu ogłoszeń, składa się z przedruków pism humorystycznych warszawskich. — Biust Mickiewicza, świetnie wykonany przez artystę rzeźbiarza Marcolego Guyskiego, postanowiono

zakupić dla umieszczenia w katedrze krakowskiej. — W Paryżu grają sztukę w 5 aktach i 10 obrazach, osnutą na tle zatargów Anglii z Rosją na granicach Indyi. Sztuka kończy się zwycięstwem Rosyi i hymnem narodowym, śpiewanym po rusku.

— **Rozmaitości.** Jednocześnie z kongresem geograficznym w Bernie w sierpniu r. b., odbędzie się tamże wystawa międzynarodowa, złożona z trzech działów: kartograficznego, alpejskiego i geograficznego. — Dziennik nowojorski *The World* zajmuje 18-to-piętrowy gmach, wychodzi w 300 do 500 tys. egz., ma 6 redaktorów, 200 reporterów, 500 korespondentów. — Wilczyński wynalazł płyn, zabezpieczający drzewo od ognia. — Lekarz paryzki de Moine wynalazł przyrząd, zawierający pastylki antyseptyczne, ułatwiający się w przeciągu czterech godzin; nosi się swobodnie w ustach, a ciągłość i siła inhalacyj w przeciągu dwóch do trzech tygodni leczyc ma suchoty i choroby gardlane najakuratniej. W ogóle środki przeciw tuberkulozie sypią się obecnie jak z rogu obfitości. — Pewien robotnik, który otrzymał (przypadkowo) uderzenie elektr. w dłoń z siłą 2,000 volt, opalił sobie ręce i stracił przytomność. O ile sobie przypomina bólu nie czuł, a tylko miał wrażenie tępego uderzenia. — P. Fortin zbudował aparat, ułatwiający przepowiadanie zjawisk meteorologicznych naprz. burz, cyklonów. — W Stanach Zjedn. zamierzają wybudować kolej elektr. z Filadelfii do New-Yorku, szybkość pociągów której ma wynosić 210 wiorst na godzinę; — W Berlinie istnieją towarzystwa: byłych samobójców, niszczycieli teściowych, wrogów wszelkich stowarzyszeń i t. p. — Amerykanin Loers zapłacił za psa 325 tysięcy franków. — Jezioro Konstancyjskie zamarzło. Jestto zjawisko, które zdarzyło się tylko dwa razy: w r. 1775 i 1830.

— **Nekrologija.** J. Szlezzygier, znany pedagog, zm. w Warsz. — M. Nowakowska, artystka dram. t. warsz., zm. w Warsz. — H. Samiński, inżynier, zm. w Warszawie. — L. Żychliński, poseł i autor wielu broszur politycznych, zm. we Wrocławiu. — Pani J. z Reszków Kronenberg, znana ongi śpiewaczka, zm. w Warszawie.

Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

P. J. Monast. w Kijowie. Dla prenum. „Głosu” „Pierwsze zasady” 2 rs. 25 kop., „Zasady socyjal.” 2 tomy, 3 rs. 60 kop., „Instyt. obrzędowe” 1 rs. Adres zmieniliśmy.

P. Marow. w Ananiew. 3 egz. Bellamy wysłaliśmy — 1 rs 80 kop. Przesyłka 33 kop.

Pani Z. Cum. w Bierzach. Książki, odpowiadającej wszystkim wymienionym w liście warunkom, niema. Wysłaliśmy „Wieczory jesienne”, jako względnie najlepsze dziełko z tej dziedziny. Cena 1 rs. 70 kop., przesyłka 23 kop.

P. A. Roszk. w Koziatynie. Komplet z 8 num. wysłaliśmy. Odpowiadamy listownie.

P. Zajk. w Jarosł. Otrzymałszy 6 rs. 80 kop., należy się więc nam jeszcze 3 rs. 17 kop.

P. J. Radz. w Petersburgu. Wysłaliśmy: *Pisma Marksa* 3 t.—2.25, *Koniec świata* 1.50, *Uranija* 2.25, nr 52 „Głosu” 15 kop., *Inst. Pol.* II zesz. 45 kop. Przesyłka 50 kop., razem 7 rs. 10 kop. Na bież. kw. pozostaje zatem z 9 rs. 1 rs. 90 kop.

Do numeru dzisiejszego dodajemy dla wszystkich prenumeratorów zeszyt trzeci (dokonczenie): *Instytucyj politycznych*, jako dodatek za kwartał IV r. z.

Podziękowanie! Serdecznie dziękuję publicznie p. *Juljanowi Dreherowi*, optykowi, zamieszkałemu na ulicy *Szpitalna Nr. 6*, za dobre i sumienne zastosowanie okularów do mego wzroku, które mi przywróciły wzrok do normalnego stanu, za co mu składam serdeczne *Bóg zapłać!* Podziękowanie to ogłaszam w celu zarekomendowania szerszemu ogółowi i wszystkim mogę go polecić.

X. Pachalski kapelan W. S.

OGŁOSZENIA GŁOSU.

CZYTELNIJA NAUKOWA

posiada 80 czasopism przeważnie naukowych, pedagogicznych, filozoficznych, społeczno-ekonomicznych i pedagogicznych w językach: polskim, ruskim, francuzkim, niemieckim i angielskim.

Otwarta codziennie od god. 10 rano do 10 wieczór.

W niedziele i święta od 11 r. do 3 p. p.

Adres: Nowy-Swiat Nr. 34 m. 4.

INTROLIGATORNIA

Władysława Wiśniewskiego

przyjmuje wszelkie roboty w zakresie introligatorstwa wchodzące.

Ceny broszurek zniżono.

FABRYKA PUDEŁEK

Maryi Wiśniewskiej

podjekuje się większych i stałych dostaw pudełek.

Marszałkowska N. 114 rog Złotej N. 9.

DYWANY

wszelkie pokrycia meblowe, Koldry, Kapy, Chodniki, Serwety, najlepiej kupować w głównym składzie Giełżyńskiego, Marszałkowska 137.

Adres: ulica Niecała Nr. 12.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu
opłaconego z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedia
Encyklopedia
Encyklopedia

E. H.

Humoru
Humoru
Humoru

Cena tomu opłaconego z góry 2 rs. Wychodzi mniej więcej w odstępach tyg.-dn.

Wyszedł z druku zeszyt XXXVII.

WINA KRYMSKIE I KAUKAZKIE
UZNANEJ DOBROCI

połączony od 30 kop. jako też analizowany jako *prawdziwy wyrob* wina i przez powagi lekarskie zalecany.

COGNAC
KRYMSKI

Kuracjajny poleca Skład Win BRACI KEMPNERÓW Długa Nr. 5.
1/1 but. rs. 1,50, 1/2 but. 80 kop.
1/4 but. rs. 2,50, 1/2 but. rs. 1,25.

JEDYNY ŚRODEK!

Dla uniknięcia kataru, przeziębień, a często i smutnych następstw z przyczyny przemoczenia nóg jest

OBUWIE NIEPRZEMAKALNE

wyrobia je pracownia

Hipolita Oleszyńskiego

nagrodzona medalem srebrnym.

Nowy Swiat 17 (róg Alei).

DOSTAWCA DWORU

Cesarsko - Austryjacko - Węgierskiego.



EXSICCATOR

Niszczy grzybek drzewny i osusza wilgoć raz na zawsze i t. p.

Broszurkę, niezbędną dla każdego budującego wysłać franco i bezpłatnie.

Wyn. Inż. Tech. G. RITTER
Królewska Nr. 39.

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga **Plato v. Reussnera**

NAJLEPSZA METODA

do nauczania się bez Nauczyciela czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w 3-ech miesiącach, po angielsku w 24 lekcjach. Cena metody niemieckiej kurs niższy kop. 60 — w oprawie kop. 75—kurs wyższy rs. 1 kop. 60. Komplet, t. j. oba kursa razem, tylko 2 rs. Metoda angielska z wymową, kurs niższy kop. 75. Najlepszy Elementarz Polsko-Niemiecki z wymową, z 14 wzorkami pisma i 20 rycinami kop. 35, 30, 15 i 7 1/2. Oprawny kop. 45. Najnowszy Elementarz Polski z wzorkami pisma, rysunków i rycinami (obrazkami) razem 340 Figur, tudzież ze wskazówkami pedagogicznymi kop. 25, 15, 10 i 5. Na przesyłkę pocztową dopłaca się do każdego rubla po kop. 15.

Skład główny u autora (P. v. Reussnera) ulica Marszałkowska Nr. 142 w Warszawie.

Wyszło świeżo w Krakowie i jest do nabycia we wszystkich księgarniach **Walczewski, Spółceństwo rodowe** kop. 30. Skład w księgarni **G. Centnerszwe** w Warszawie.

Jest do nabycia w księgarniach dzieło

IWANIUKOWA

EKONOMIJA POLITYCZNA

Cena 2 rs. 50 kop.

SPOSÓB D^{ra} HEIDENHOFFA

napisał

Edward Bellamy.

(ciąg dalszy).

Ale, zauważył Henryk, wyobraźmy że nie byłoby pamięci, że ludzie zapominają o swoich postępkach; pozostaliby oni niemniej również odpowiedzialnymi za nie jak i dzisiaj.

Ma się rozumieć... t. j. niezupełnie tak.

Nie chcesz pan chyba powiedzieć, że ani odpowiedzialność, ani sprawiedliwość nie istnieją. Już widzę, nie uznajesz pan wolnej woli... Jesteś pan deterministą.

Doktor machnął ręką cokolwiek pogardliwie. Nie znam się nic a nic na waszych odróżnieniach teologicznych. Jestem lekarzem. Powiadam, że nie istnieje zgoła odpowiedzialność za czyny minione, że nie masz istotnej sprawiedliwości w karaniu ich, gdyż istoty ludzkie nie są jakimiś teoryjami unieruchomionymi, lecz są to ustroje, zmieniające się, rosnące i ustawicznie postępujące, które w każdej danej chwili nie są już tem, czem były. Dlatego też, sprawiedliwość, której pozostaje jedyną drogą—karania w czasie teraźniejszym za to, co uczyniono w przeszłości, musi zawsze karać osobę, mniej albo więcej podobną do tej, która zawiniła, ale nigdy nie identyczną z nią, a tem samem musi nie być sprawiedliwością.

Tak, panie, nie jest to bynajmniej moją teorią ale rzeczą powszechną świadomości, że, w należytem rozumieniu, owa różnica pomiędzy jaźnią przeszłą a obecną tegoż osobnika jest tak wielka, iż czyni zeń dwie osobistości różne w odniesieniu do wszelkich celów moralnych. Sam ten fakt tylko, o jakim mówiliśmy przed chwilą — że nikt nie starałby się zemścić na kimś, gdyby wiedział, że winowajca jak najzupełniej zatracił pamięć obrazu, sam ten fakt, powiadam, świadczy na korzyść całego mego założenia. Wskazuje on że, nie na obecną jaźń swego przeciwnika zagniewany jest mściciel, ale na minioną. Nawet w zaślepieniu swojej wściekłości spostrzega on instynktownie różnicę pomiędzy obydwoma. Nie nawidzi tylko teraźniejszego człowieka i na nim szuka zemsty — o ile przypuszcza, iż cieszy się on, przypominając sobie zniewagę, jaką wyrządziła jego jaźń przeszła, albo że jeśli się nie weseli, to przynajmniej znieważa go i poniża samym faktem pamiętania o niej. To znaczy, iż jedynie trwająca wciąż obraza podnieca przeciwko niemu gniew mściciela. Błędem jego nie jest to, że dopuścił się zniewagi, gdyż on się jej nie dopuścił, ale to, że pamięta o niej.

Czyliż nie jest to najpierwszą zasadą sprawiedliwości, że nikt nie może być karany za to, czemu podołać nie jest w stanie? Czyż może człowiek dzisiejszy zapobiedz temu, lub zmienić to, co zrobił wczoraj, a raczej powiem—to, z czego już wyrósł, wyrósł mocą procesu fizjologicznego, który mógłby powstrzymać jedynie przez samobójstwo. Byłoby to tem samem, co karać go za grzech Adama, gdyż równie łatwo mógłby on zapobiedz tamtemu; równie też jest zań odpowiedzialnym. Litujecie się nad dzieckiem, zrodzonym pomimo swej woli, z rodziców zepsutych. Niech się każdy raczej lituje nad sobą—człowiek dzisiejszy, który drogą procesu, tak nieuchronnego jak narodziny, powstał ze stoczonego pnia wczorajszego człowieka, niech się nad sobą lituje. Pomyśl pan, czyli też czasem nie napelnia go obrzydzeniem i zgrozą poczucie tego, iż jest zespolony z owym pniem starym. Zastanów się bowiem tylko: świadomość człowieka istnieje tylko w danym dniu i chwili. Wtedy jedynie on żyje. Jest sobą samym. Dzień ubiegły jest trupem jego, za którego grzechy choć nie brał w nich żadnego udziału, i choć ich z własnego popędu dzisiejszego nigdyby nie był popełnił, musi odpowiadać i ponosić karę. A tyś myślał, młodzieńcze, że istnieje sprawiedliwość...

Rozumiem—rzekł Henryk, po chwili milczenia, że kiedy pół życia upłynie pomiędzy zbrodnią a karą, kiedy człowiek się już przeobrazi, wówczas, istotnie, spostrzegamy pewien brak tożsamości osoby. Zawsze sądziłem, że karanie w takich warunkach jest wielkim barbarzyństwem. Wiem, że trudno mi jest odpowiadać za to, co mogłem zrobić, będąc dzieckiem, przed laty dwudziestu.

— Tak—odrzekł doktor, przykłady jaskrawe tego rodzaju uderzają oko profanów i ludzie mówią też, że to są raczej przykłady odwetu, nie zaś sprawiedliwości. Różnica pomiędzy dwoma krańcami życia, pomiędzy dzieckiem i człowiekiem—dojrzałym, młodzieńcem a dzieciniałym starcem uderza oczy każdego i wszyscy uznają, iż niema tożsamości widocznej pomiędzy takimi dwoma bardzo odległymi szczeblami postępu ustrojów ludzkich. Jaki? kiedyż więc tożsamość poczyna zanikać, kiedy ustaje? W ciągu jednego roku, lat pięciu, dziesięciu, dwudziestu, czy też ilu? Czy oznaczmy liczbę pięćdziesięciu lat przedziału jako moralną ustawę odgraniczenia, po za którem kara winna być uważana za barbarzyństwo?

Nie, nie! przepaść pomiędzy człowiekiem tej oto chwili i człowiekiem chwili ubiegłej jest tak samo nie do przebycia, jak pomiędzy dzieckiem a mężczyzną. To, co przeszło, przeszło na wieki. O ile sprawa dotyczy istoty sprawiedliwości, niema różnicy pomiędzy takimi wypadkami karania, jakie pan nazwał barbarzyństwem, oraz taką karą, która dosięga winowajcy w ciągu godziny. Niema sposobu połączenia przeszłości z teraźniejszością i niema też różnicy pomiędzy tem, co przeszło od wieków, a tem, co minęło przed chwilą.

— Więc morderca po wyjęciu sztyletu z piersi ofiary, nie jest już tym samym, który go zapałiał.

— Oczywiście — odpowiedział doktor—może on się cieszyć ze swego postępku, lub, co jest prawdopodobniejsze, może podlegać reakcy żalu, może stać się gorszym albo lepszym. Ani gorszość jego, ani lepszść nie czyni sprawiedliwszą jego kary, jakkolwiek może czynić ją bardziej lub mniej korzystną. Sprawiedliwość domaga się tożsamości; podobieństwo, jakkolwiek było ściśle, wymaganiami jej nie odpowiada. Chociażby nawet matka nie mogła rozpoznać swoich synów bliźniąt, gdy są rozdzieleni, to jeszcze przez to ukaranie jednego z nich zamiast drugiego nie stałoby się bardziej sprawiedliwym.

— Więc pan nie uznaje karania zbrodni?

— Owszem, jak najzupełniej — odrzekł doktor.—Tylko, że ja nie uznaję nazywania tego sprawiedliwością, lub przypisywania karze znaczenia moralnego. Karanie zbrodniarzy jest sprawą publicznego bezpieczeństwa i wygody, zupełnie tak samo, jak środki, zapobiegające niechlujstwu i epidemijom. Potrzeba powściągać tych, którzy przez zbrodnię zdradzili się ze swą skłonnością do popełniania innych zbrodni. Potrzeba też przy pomocy karania ich odstrzążyć innych od występku.

— Jak również odstrzążyć samego zbrodniarza po jego uwolnieniu—dodał Henryk.

— Objąłem go już wyrazem „innych” — odrzekł doktor.—Człowiek karany jest innym, niż ten, co popełnił zbrodnię, po ukaraniu zaś go znowu jest innym.

— Doprawdy, doktorze — zauważył Henryk, nie widzę, iżby człowiek, uznający w zupełności pańską teorię, mógł choć trochę potrzebować pańskiego sposobu do zatarcia swych grzechów. Nie będzie on nawet mógł myśleć o ganieniu siebie za nie.

— Słusznie, bardzo słusznie — odrzekł doktor.—Metoda moja jest tylko dla tych, którzy nie mogą osiągnąć mojej filozofii. Ja dla słabych tylko kruszę łańcuchy pamięci, wiążące ich z przeszłością; ale duchy silniejsze nie zależą ode mnie. Mogą one stargać ogniwa żelazne i uwolnić się z więzów. O ileż więcej potrzeba byłoby mądrości i siły do tego, aby z taką pogodą pozostawiać za sobą swą przeszłość, nieboszczykom pozostawiać grzebanie nieboszczyków i zdążyć naprzód, biorąc każdy dzień nowy jako życie osobne, uważając się

codzień za nowonarodzonych, gdyż w istocie jesteśmy takimi! Cieleśnie i umysłowo, zaprawdę, teraźniejszość musi być zawsze potomkiem przeszłości, zależeć musi od jej warunków i dźwigać ciężary, ale moralnej odpowiedzialności za przeszłość czas teraźniejszy nie ma żadnej i z samego już określenia tych wyrazów wynika, iż żadnej mieć nie może. Nie trzeba bynajmniej mówić ludziom, iż powinni żałować i smuć się z powodu błędów przeszłości. Nie mogą oni temu podołać. Ja sam cierpię niekiedy dość silnie na reumatyzm, który zawdzięczać uciechom młodości. Dość niedorzecznym byłoby, gdybym ganił teraz siebie, spokojnego, starego chłopca lat sześćdziesięciu, za to, co robił rozhukany student, a czego jednak, pragnąłbym niejasno, aby nie robił.

Ach Boże! — ciągnął dalej doktor — czyż niedość mamy smutku i fałszu na świecie dzisiejszym bez tych moralistów, uczących nas, iż obowiązkiem naszym jest uwiecznić wszystkie nasze grzechy i wstyd w wielokrotnością-ciemie zwierciadła pamięci, jakszbyśmy więcej doprawdy byli sprawcami grzechów naszej przeszłej jaźni, niż grzechów naszych ojców. Iluż mężczyzn i kobiet zatruwało sobie życie łzami z powodu jednego jakiegoś grzechu odległej przeszłości. Szaleństwo ich jest tem większe, im jest smutniejsze, zkadinał podobnym jest ono do tego, gdyby ktoś poświęcił życie głupim zachwytem nad samym sobą z powodu jakiegoś dobrego czynu, którego kiedyś dokonał. Następstwa dobrych i złych czynów ojców naszych i nas samych spadają jak deszcz na nasze głowy, już oświeżające nas, już smagając nagrodą albo karą, jednako niezastępowaną przez nasze jaźnie dzisiejsze. Ale, znosząc to wszystko z możliwym spokojem, pamiętajmy, że, tak samo jak tylko głupcy chlubią się przeszłymi swymi cnotami, tak podobnie też tylko pewien bardzo smutny rodzaj szaleńców dręczy siebie za błędy przeszłości.

Czujnego ucha Henryka doleciał szmer jakiś z małego pokoiku. Zbliżył się do drzwi i zajrzał. Magdalena siedziała już na sofie.

XXII.

Postawa jej miała w sobie coś szczególnego. Nogi spoczywały na podłodze, lewą ręką wsparła się o sofę, prawa zaś podniesiona była do skroni i jakby zastępyła w chwili odgarniania ciężkiego zwoju włosów, które się stargały w czasie snu. Brwi były zlekka ściągnięte, o czy zaś wpatrzone w dywan. Zdawała się być tak zatopiona w rozmyślaniu, iż nie zauważyła wejścia Henryka, aż do chwili, kiedy, stanawszy przy niej, zapytał głosem, któremu napróżno usiłował nadać cechę pewności:

— Jakże się czujesz?

Nie spojrzawszy na niego wcale, ale odrzekła tonem rozmarzenia, cedząc wyrazy, jak ktoś, co pogrążony jest w melancholii:

— Czu-ję się do-brze. Chciałabym zawsze tak pozostać.

— Czyś się dopiero teraz obudziła?—zapytał po chwili. Sam nie wiedział, co mówić.

Tym razem spojrzawszy na niego, ale z wyrazem połowicznej tylko uwagi, jak gdyby nie mogła jeszcze uwolnić się od swoich myśli.

— Obudziłam się już od niejakiego czasu, usiłując odgadnąć...

— Odgadnąć? co? — zapytał Henryk, udając zlekka niewiadomość. Nie wiedział on najzupełniej, co ma z nią począć.

— Jak to co?... Co ja miałam zapomnieć, żeśmy tu przyszli? — odrzekła cierpko. — Nie sądzę, że doktor zrobił ze mnie warjatkę. Było to coś jakby hewing, harrwing, Howard, coś, co się zaczynało od litery h, jestem tego pewna... H—ciągnęła w zamyśleniu, przyciskając rękę do warkocza, który jeszcze dotąd odgarniała z czoła.—H... albo może K... powiedz mi, Henryku? musisz przecie wiedzieć...

— Po co, po co?—bełkotał przygnębiony.—Jeśliś przyszła tu, aby zapomnieć o tem, to cóż za pożytek z mówienia ci teraz, kiedyś już zapomniła... to jest... ma się rozumieć, przypuszczając, że było coś do zapomnienia.

Nie zapomniałam tego — oświadczyła. Sposób się nie udał; zmieształ mię on tylko na chwilę, wszystko jedno, możesz mi powiedzieć. Za-

raz, zaraz, już prawie przypominałam... przypomnę natychmiast. I spojrzała nań tak, jak gdyby upór jego zaczynał już ją męczyć.

W tej właśnie chwili doktor wszedł do pokoju.

— Doktorze, ona chce wiedzieć to, o co się pan starał, aby zapomnieć.

— Cobyś też pani rzekła, gdybym powiedział jej, że była to dawna sprawa miłosna—odparł doktor chłodno.

— Rzekłabym, żeś pan był niezupełnie grzecznym—odpowiedziała mu Magdalena, patrząc na niego trochę wyniośle.

— Przepraszam, droga pani. Bardzo słusznie się pani oburza, ale mam nadzieję, że się nie rozgniewasz na starego jegomościa—mówił doktor, patrząc na nią z pod krzaczastych brwi swoich z wyrazem współczującej życzliwości.

— Przypuszczam, doktorze, iż chciałeś mi tylko dokuczyć tak, ażeby mi się jeszcze bardziej pomieszało—odrzekła Magdalena, śmiejąc się—ale nie uda się panu. Zaraz, zaraz przypomnę... zaczynało się to od /, jestem prawie pewną tego... poczekajcie państwo: Harrington... Harvat... coś w tym rodzaju...

— Może Harrison Cordis—podał doktor poważnie.

— Harrison Cordis? Harrison...—powtarzała, ściągając brwi w zamyśleniu. Nie, to bardziej było podobne do Howard. Nie potrzebuję już waszych napomknien. Zbijacie mnie tylko z tropu.

Doktor opuścił pokój, śmiejąc się, a Henryk rzekł z sercem, wezbranem radością, wskutek czego głos jego był urywany:

— Chodź, moja droga, lepiej będzie, gdy ztąd wyjdziemy. Pociąg odchodzi o czwartej...

— A jednak ja przypomnę—odrzekła ona, śmiejąc się do niego i zuchwale potrząsając głową.

Henryk rozkrzyżował ramiona: Rzuciła się w nie i usta ich spotkały się w pocałunku szczęśliwym i miłym z jej strony, bez żadnego uczucia szczególnego, ale usta, które całowała, były drżące. Zdziwiona trochę jego wzruszeniem znowu pochyliła mu się w objęcia i patrząc nań swymi przepyszniemi oczami rzekła:

— Jak ty mnie kochasz, mój drogi!

O, cudowne, rozkoszne światło jej oczu! Nie widział go od czasu, gdy była dziewczęciem, a nigdy jeszcze nie jaśniało dla niego.

Gdy mieli odchodzić, doktor pociągnął go na stronę.

— Najpomysłniejsza operacja, panie, jakiej kiedykolwiek dokonałem—rzekł w upojeniu.—Widziałem, jak pana raziło, kiedyś tak otwarcie mówił jej to, o czym zapomnieć. Niepotrzebnie się pan trwożył. Pamięć o tem znikła bezwzględnie i nie może być wskrzeszona.

Pacyjenta może się domyślać tu wszystkiego w świecie z wyjątkiem tego, o co naprawdę chodziło. Całkiem bezpiecznie będziesz pan mógł przy niej wspominać o faktach rzeczywistych, a jedyne niebezpieczeństwo będzie takie, że jeżeli nie pomyśli, iż pan żartuje, to przestraszy się, że dostajesz pan obłędu.

Powracając do domu, Magdalena przez całą drogę pełną była zgadywania i domysłów co do tego, czego też mogła zapomnieć. W końcu jednak, kiedy doszła do wniosku, iż musiało tam iść o Harvard College i kiedy Henryk uchylił się od wyraźnego zaprzeczenia temu, umocniła się w tem przekonaniu stanowczo. Oznajmiała przytem, iż dostanie dawne spisy, poprzeczytuje wszystkie imiona, oraz że odwiedzi same kolegium, aby się przekonać, czy wspomnienie jej czasem nie odżyje. Ale, kiedy Henryk uroczyście wymógł na niej; aby tego nie robiła, gdyż w razie zmartwychwstania wspomnień, związanych z tą instytucją mogłaby doznać niejakiej przykrości, zgodziła się na zaniechanie zamiaru.

— Chociaż, czy wiesz, mój drogi—dodała—niczego bym na świecie tak nie pragnęła wykryć, jak tego, dla zapomnienia czego chodziliśmy do doktora Heidenhoffa... Cóż udajesz skromniam! Czyż naprawdę nie byłabym rada, gdyby mi udało się to zrobić?

— Doprawdy nie miałoby to ważnych na-

stępstw—odrzekł Henryk, niby to pilnie zajęty otwieraniem szczyryka.

— Przypuśćmy, że nie, to jednak niemożność przypomnienia nie przestaje być również dręczącą.

— Jak ci się podobał doktor Heidenhoff?

— O, sądzę, że jest dość dobry, jako doktor, ale myślę, iż żart o sprawie miłosnej wcale nie był piękny. Mężczyźni są tak szorstcy...

No, przecież on nie myślał nic złego—rzekł Henryk z pośpiechem.

Przypuszczam, że chciał umyślnie powiedzieć coś najniedorzeczniejszego, aby mię zbić z tropu i rozśmieszyć. Z pewnością jednak wolałabym mu natrzeć uszu. Widziałam, że i panu to się nie podobało, mój panie.

Jakto?

O, nie myśl, żeś nie zauważyła jakieś się zachnął, kiedy on to mówił, jak gniewnie spojrzawsz na niego. Możesz rościć pretensyje do wszystkiego, tylko nie do oszukiwania mnie. Byłbyś jedynym, a niedorzecznym sędzią, gdybyś myślał, żeś kiedykolwiek spojrzała na kogo innego. Tu wybuchnęła śmiechem, a twarz jej mieniła się rumieńcem i bładością pomieszania. Gdzie tam, byleś pan istnym obrazem zazdrości na samą wzmiankę o tem. Boże, jakimże pan będziesz tyranem. Chciałam przyznać się panu do niektórych moich flirtacyj, ale teraz tego nie zrobię. Ach, Henryku, jak zabawnego uczucia doznaję w twarzy, kiedy się tak śmieję—jak gdybyby mięśnie moje całkiem porzdzewiały. Mogłabym pomyśleć, żeś się przez cały rok nie śmiała szczerze.

Prawie nie ważył się jej pozostawiać samej, gdy przybyli do domu—a to z obawy, że zacznie znowu myśleć i troskać się tą sprawą i że ostatecznie będzie mogła natrafić na klucz smutnej zagadki swego życia, tak niedawno zatartej i powróci do swojej dręczącej manii wobec okropności odkrycia. Jak tylko mógł najwcześniej, pobiegł prawie znowu do jej mieszkania, miotany panicznym strachem. Ona widocznie myślała była o tej sprawie.

W jaki sposób przybyliśmy tu razem do Bostonu, Henryku. Nie rozumiem zupełnie, pocem tu przyjechała. Przypominam, żeś ty przybył później.

Tak, przyjechałem po tobie.

O cóż to chodziło? Czy byłam chora?

— Bardzo chora.

— Na głowę?

— Tak.

— Ale, dla czegoż mama nie jest tu ze mną.

— Zdawało się, że... żeś jej nie potrzebowała—odpowiedział Henryk, a chłodny pot okrywał mu policzki wobec tej inkwizycyi okropnej.

— Tak—odrzekła zwolna. Przypominam sobie twoją propozycję wezwania jej i to, żeś ją się nie zgodziła. Nie mogę pojąć dla czego. Musiałam być niespełna rozumu, jak powiadasz Henryku, ciągnęła dalej, patrząc nań z wyrazem nagłego rozrzewnienia, musiałeś być bardzo dobrym dla mnie. Doktor Heidenhoff nigdy by nie nakłonił mię do zapomnienia o tem.

Nazajutrz przyjechała matka. Henryk spotkał ją na stacyi i objaśnił wszystko, tak, że przywitała się z Magdalena, przygotowana już do zmiany, ma się rozumieć, o tyle, o ile biedaczka mogła być do tego przygotowana. Rzecz ta przechodziła widocznie jej umysł. Dni następnych chodziła z twarzą nawpół osłupioną i bardzo mało mówiła. Na Henryka spoglądała zawsze z jakimś, budzącym litość, wyrazem wdzięczności i zapytania. Na Magdalena patrzyła z pewnym rodzajem oszołomienia, które potęgowało się raczej z dniem każdym nie zaś słabło. Zamiast oswajając się z przeobrażeniem, codziennie, jak się zdawało, dziwiła mu się bardziej. Dawne chłopięce usposobienie dziewczyny, które powróciło w całej pełni, zdawało się razić i boleć jej matkę jakimś poczuciem niewłaściwości, którego pokonać nie mogła. Kiedy Magdalena obchodziła się z kochankiem, używając swoich tyrańskich względem niego sposobów, których widok rozkoszniejszym był dla niego, niż powrót zorzy, matka zdawała się być tem przestraszona, próbowała powściągać ją trochę, zaś do Henryka

zwracała się z pewnym rodzajem łagodnych wymówek, których słuchać było bardzo smutno. Pewnego wieczora, gdy przyszedł o zmroku, ujrzał Magdalena, siedzącą ze „swojem dzieckiem”, (jak począła znowu nazywać matkę) w objęciach: pocieszała je i kłósała, a stare dziecko z jękiem i łkaniem tuliło się do piersi córki.

Posmutniała biedna mateczka; nie pojmuję, co się jej stało. Weźmiemy ją z sobą w naszą podróż poślubną. Potrzeba jej jakiejś zmiany.

— Boże dobry, tego nigdy nie będzie, protestowała biedna kobiecina, spoglądając, jak zwykle nawpół przestraszona na Henryka. Pan Burr wcale nie znajduje, aby to było piękne.

— Sądzę, że pan Burr zanadto zajęty jest myślą o piękności mojej, aby miał myśleć o czem innym—rzekła Magdalena.

— To podobne do sukni, jaką pani miała na majówce w Hemlock Hollow—rzekł Henryk.

— Tak? nie, wcale nie jest podobne, trochę tylko zakrawa na tamtą. Jest jasna i skrojona tak samo—oto całe podobieństwo, ale, rozumie się, trudno wymagać od mężczyzny lepszej znajomości rzeczy.

— Zupełnie podobna, utrzymywał Henryk.

— Co pan da w razie przegranej?

— Najpiękniejszą parę branzoletek, jaką znajdę w mieście.

Zakłady są rzeczą brzydką i dla tego sądzę, że obowiązkiem moim jest przyjąć ten zakład, aby zniechęcić pana do innych. Będąc narzeczoną, panna musi być odpowiedzialna za moralność młodzieńca.

Opuściła pokój i po chwili powróciła tam w prawdziwym stroju majówkowym. Oto jest rzekła, zatrzymując się przed lustrem.

— Ach prawda, prawda... przegrałem. Zawołał Henryk, patrząc na nią z zachwytem. Jakże piękną była pani wtedy. Nigdy cię nie oglądał taką przedtem. Czy pamiętasz, że był to dzień, kiedyś cię pocałował po raz pierwszy? Nigdybym się na to nie odważył, ale wtedy nie mogłem już wytrzymać.

— Tak właśnie, o ile sądzę, powiedziałeś pan na majówce, zauważyła Magdalena sucho. Jest mi w tem niezgorzej—dodała oglądając siebie w lustrze okiem znawcy. W istocie nie wierzyłam, żeś pan nie mógł wytrzymać. Nie powinnam była być dla ciebie tak okrutną, biedny chłopcze. No, no! wcale nie do tego mówię... proszę bardzo. Mama nadchodzi.

Pani Brand weszła do pokoju, niosąc duże pudło tekturowe.

O, mój strój weselny, nieprawdaż, mamę? zawołała Magdalena, porywając pudełko. Henryku, możesz iść do domu. Nie będę mogła już towarzyszyć ci dzisiaj. Jest sprawa ważniejsza.

— Ale jabyś chciał ciebie w niej zobaczyć—ociągał się Henryk.

— Tak?

— Tak.

— Bardzo?

— Okropnie.

— Dobrze, więc usiądź i czekaj tutaj sam z godzinę, a może zobaczysz; kobiety poszły na górę.

Nareszcie dał się słyszeć szelest na schodach, Magdalena weszła znów do pokoju, jaśniejąc białością lśniących atłasów. Poza gazowym welonem, spadającym od korony ciemnych włosów na ramiona, twarz jej jaśniała wyrazem, jakiego w niej nigdy nie widział dawniej. Stała przed nim już nie wesółą, pewna siebie dziewczyną, ale uległą i ufającą mu oblubienicą. Promienny wyraz królewskości, z którym tak dobrze było jej dumnej krasie innym razem, teraz ustąpił miejsca płochliwej i zapłnionej miękości, mającej niewysłowiony urok dla jej kochanka. W jaśniejących jej oczach tłum obaw dziewczyczych mieszał się z tkliwą uroczystą ufnością kochania.

(Dokończenie nastąpi).